

PRZEGLĄD
POZNAŃSKI.

PISMO MIESIĘCZNE.

Poszyt VI.

MIESIĄC CZERWIEC.

1847.

POZNAŃ.
CZCIONKAMI W. STEFAŃSKIEGO.

IMPRIMATUR.

Poznań, dnia 2. Czerwca 1847.

Czarnecki, Cenzor.

O wyobrażeniach szerzonych przez P. Aleksandra Maciejowskiego.

2.

Na uniwersytecie warszawskim, przed 1830., Pan Maciejowski wykładał prawo rzymskie — nie możemy powiedzieć, że je pojmował i przedstawiał umiejętnie, łatwo i szczęśliwie; że okazywał wyższe, rozległe umysłowe usposobienie. Nie był to, ani Savigny, ani Hugo, ani Gans. Chociaż prawo rzymskie teraz niema i mieć nie powinno téj ważności, jaką miało przez średnie wieki, przez czas, kiedy europejskie społeczności, pod wpływem grecko-rzymskiej oświaty, przygotowywały swoje własne wykształcenie; chociaż Polska, z najgłębszych powodów, raczej przez natchnienie, aniżeli przez rozumowanie, odmówiwszy powolności rzymskim i germańskim prawnym pojęciom, przenieśli życie o własnym duchu, chętnie wszakże bylibyśmy widzieli dobre rozwinięcie i dokładne przedstawienie prawodawstwa rzymskiego. Jest to pomnik zawsze wielki narodu, który zewnątrz zarysował jedność Europy i rzucił zasady, z jakich powolnie rozwinęły się europejskie społeczności. Prawo i urządzenia Rzymu zwyciężyły żywioł germański, wniesiony do Galii, do Włoch, do Hiszpanii — żywioł, który długo przedstawiano jako

odrodzenie Europy, jako początkowanie jój nowój istności, ale który wedle nas wprowadził jedynie zamieszanie.

Niech Germania odejmie to, co jój udzielił Rzym w swoim prawie, co przyniosła Ewangelia, Papizm, pozostałość rzeczywiście germańska, narodowa, podobno niema ani historycznej, ani politycznej wielkości. Goethe, zdaje się, znał, rozumiał i szanował swój naród, który i my szlachetnie szanujemy — a jednak napływowi Germanów przypisał zamieszanie, szkodliwe następstwa, nienaprawione. Germania ze swego ducha nic nie zatrzymała. To co miała zajmujące, cywilizujące i święte, stworzyła w niej potęga bożej Ewangelii, polityczna myśl Rzymu. Z niej samój nie wyszło żadne początkowanie. Wyrazy powiedziane przy chrzcie Chlodwiga: szanuj barbarzyńco, coś znieważał, są dokładnym wytłómaczeniem téj zbawiennój przemiany. Germania zniżyła się, zniweczyła swoje własne jestestwo — i wystąpiła jako nowe stworzenie. Tylko dumnemu narodowemu złudzeniu przypisać można twierdzenie, jakoby dawna Germania ze swój własnej istności rozwinęła cywilizujące potęgi, jakoby Słowianom udzieliła wyższego duchowego politycznego i społecznego życia.

Pan Maciejowski, jako professor, nieposzedł dalej poza zwyczajne wykłady — zupełnie zewnątrz, mechanicznie przedstawiał prawo rzymskie. Miał najtrudniejsze wystawienie, przez wzgląd, że jego myśl sama w sobie nie miała ani jasności, ani pewności, niewzniosta się ku sferom, z których rzeczy ludzkie umiejętnie, spokojnie, wszechstronnie, a jeżeli wolno powiedzieć, religijnie oceniać można. Nigdy przed jego duchem nieodkryła się boża jasność. Pisał miernie, myślał nisko, swemu wykładowi odebrał wszystko głębokie i ujmujące, młodym umysłom zadawał niewypowiedziane męki, ale nie te, po których i przez które duch zdobywa wiedzenie siebie. Jednak mamy wymiarkowanie. Pan Maciejowski nieadał, czego sam w swoim duchu nieposiadał. Czytał wiele, szperał pilnie, składał mozolnie, sztukował z ręcznie. Jest to konieczne, ale zupełnie podrzędne. Jest to prosto me-

ehaniczna strona uczoneści, która po użyciu, zakryta, zniweczona być powinna. Podobno Pan Maciejowski nieprzeczuwał nawet, że po za tym mechanizmem jest coś ważniejszego. Tęj myśli kształcącej się w sobie, przez siebie, Bóg jemu może nieudzielił, a może udzielonej Pan Maciejowski otworzyć nieumiał.

To, co przedstawiamy, ma swój cel; jest wstępem ku temu, co wyłożyć zamierzamy, ma być wyłómaczeniem tej umysłowej czynności, której mnogie i ogromne dowody złożył Pan Maciejowski. Po 1830., rząd rossyjski rozwiązał uniwersytet Warszawski. Pan Maciejowski niepowrócił do swęj katedry — ale niemógł nieadać zajęcia swoim wolnym chwilom. Zamyka przeto pandekta, i wszystkie siły, jakie miał, przenosi ku rozwiduieniu słowiańskich rzeczy. Przedsięwzięcie najchwalebniejsze, najskuteczniejsze. Sama Polska, jęj umysłowość, jęj samoistość, jęj historyczny, tyle wyraźny indywidualizm; są rozerwane, zaciemnione różnemi poszukiwaniami, między którymi niema umiejętnęj zgody i jedności. Przetoż możnaby zapytać, czyli owa, pozornie tyle szlachetna, tyle zajmująca, naukowa podróż po całej Słowiańszczyźnie wyda gruntowne następstwa, dopóki my sami, my Polacy, nieustanowimy naszęj własnej miłości, nieoznaczymy ściśle naszęj własnej historycznej istności — póki nieutworzymy dla siebie wiary, podstawy, któraby na zewnątrz kierowała naszym myśleniem. Powinniśmy zapalić nasze własne światło, mające rozświecać bezdroża tej niepewnej, pod wielu względami jeszcze chaotycznęj Słowiańszczyzny. Lecz podobno Pan Maciejowski powiedział sobie — ja niemam swego światła — mój kraj niemiał i niema swego światła. Wystąpił przeto po za siebie, po za swój kraj, po za jedyne pewności i rzeczywistości historyczne i osądził, że z porozrzucanych ułamków, ze światełek migających gdzie niegdzie, złoży piękny, organiczny, żyjący wizerunek całej Słowiańszczyzny. Pan Maciejowski wprawdzie zmienił przedmiot, ale nie zmienił ani swego umysłu, ani swęj metody, która, wyjąwszy nazwanie — niema ani umiejętnęj, ani historycznej wyższęj ważności.

Zszywanie prosto materyalne, zbliżenie czynów historycznych — to nie jest widzenie historyi. Składał zatem, przyczepiał, sztukował kamyczki pozbierane nad brzegami Dunaju, Elby, Dniepru, Wołchowy, Wisły, 1) ale nie rozważył, że jako we wszystkim, również i w historycznych badaniach, umysł nie odkryje jedności, kiedy jój w samym sobie nie ma gotowej, stworzonej, wykończonój. Światło jest w nas, nie po za nami. I nie jesteśmy zdumieni, jeżeli Pan Maciejowski, w skutek tej fałszywej historycznej metody, zwiedziwszy tyle krajów i tyle wieków, znużony, nawet dla siebie niewynalazł jasności. Stawiamy albowiem główne, genetyczne prawidło: Nic, zewnątrznie pojęte, zrozumiane być nie może, na co pierwej nasz duch, w samym sobie nieodkrył i niestworzył pojęcia 2).

Historyczne poszukiwania, jakie Pan Maciejowski wybrał dla swój umysłowej czynności, mocno szanujemy. Są one najważniejsze, najistotniejsze, ale razem drażliwe i niebezpieczne, ku którym powinniśmy przynosić usposobienie najspokojniejsze. Historia nasza, jestto nasza świę-

1) Pan Maciejowski pięknie rozumiał, że bez poznania Rusi przed Dnieprem, Rusi za Dnieprem pojąć niemożna. Ruś przed Dnieprem, jest to Polska. Miał przeto Pan Maciejowski szczęśliwe, zbawienne widzenie, ale miał chwilowo.

2) Myśli, które Pan Rzewuski w Tygodniku Petersburskim przedstawił loicznie, głęboko i pięknym polskim językiem, mamy usposobienie zatwierdzić. Ich następstwa atoli, naszym zdaniem, są posunione daleko, zadaleko. Między wszystkimi objawieniami umysłowemi, jest związek, jest żyjąca jedność. Umiejętności, nie są to siostry, jest to całość, zupełność. Umiejętności, są to promienie pierwotnej bożej światłości — złudzenie, obłąkanie powstaje naówczas jedynie, kiedy promień chce być istniejącym przez siebie, kiedy przerywa swój stosunek ku swemu słońcu. Ściśle i prawdziwie razem, żadna umiejętność nie jest utworem umysłu człowieka, przez prosty wzgląd, że umysł, że duch nie jest swoim własnym początkiem. Umysł i wszystko co zeń występuje historycznie, jest z Boga. Jest to zatem niepewność i słabość duchowa — jeżeli pewnym naukom dajemy błogosławieństwo, a na inne rzucamy gniew i przekleństwo. Chrystyanizm istotny nie wyłącza, obejmuje i tłómaczy wszystko. Jest to doskonała wiedza.

tość narodowa. Jest to podstawa naszój przyszłości; pierwszy grunt, na którym możemy budować nasze dalsze wykształcenie. Tłómaczymy nasze uważanie.

We wszystkich europejskich narodach przeważa teraz historyczny kierunek. I Polska doń wejść musiała, najgłówniej przez swoje wyjątkowe, traiczne, ale razem szlachetne położenie. — Przetóż u nas, historia, pojmowanie naszój historyi, wszelkie poruszenie naszój myśli, nie jest tém, czemy było pośród odmiennych zewnętrznych stosunków. Chociaż naprzykład we Francyi kierunek historyczny nie jest sztuczny i zmysłowy, i zapewne ma swoje głębokie znaczenie, przecież nie ma téj nieogarnionój ważności, jaką u nas mieć musi. Powiedziano — piśmiennictwo wyobraża swój czas, swój naród — z tajemnic ducha wysnowane być powinno. I to pojmowanie piśmiennictw, do żadnój europejskiój społeczności właściwiej i mocniej, jak do naszój zastosowane być niemoże. U nas piśmiennictwo przedstawia nietylko nasze dzisiejsze wyobrażenia, nasze obecne nadzieje i twógi, ale całe nasze dzieje; przenika do najdalszych, do tajemniczych początków naszój historycznój istności. Nosimy w naszym duchu całe przysze życie Polski. Nasz duch jest obecny we wszystkich jój objawieniach i przemianach. Przeszłość dla nas, pod pewnym względem, jest to terażniejszość — jest to najpewniejsze, najżywsze uznanie naszego ducha we wszystkim, czém był, czém jest. Téj cudownój, i że powiemy, téj przerażającej potęgi nie posiada żadne piśmiennictwo europejskie. Gdzieindziej polemika nawet najpoważniejsza, jest to szermierstwo; praca ważna umysłowa gimnastyka. U nas — polemika ma nie samo naukowe znaczenie, ale rzeczywicie narodowe, najważniejsze. Najlżejszy, najsubtelniejszy fałsz, wprowadzony do naszój przeszłości, najgwałtowniej nas wzrusza, albowiem dla nas niema skończonój, umartój, zamknionój przeszłości, albowiem duch nasz, w najodleglejszych swoich minionych historycznych objawieniach, siebie czuć i żyć nieprzestał. Niemylimy się, nieprzesadzamy, kiedy twierdzimy, że téj władzy, czuć się

bie najmocniej, żyć we wszystkich chwilach swojej historii, tej cudownej jedności, między tem, co jest i co było, niema żadna europejska społeczność. Nasz naród jest w najściślejszem znaczeniu — żyjąca osoba, nosząca w sobie swoje wszystkie czyny, swoje wszystkie wspomnienia; jedna rzeczywistość — jedna wiedza, jedno sumienie. Z tych przeto powodów, my historycznym poszukiwaniom dajemy najważniejsze znaczenie. Jest to świętość świętości, jest to wytłómaczenie i podstawa duchowa naszego bytu. Pan Raumer powiedział: — każdy Polak we swoim łonie ma cały swój kraj — i może nie wiedział, że dał najgłębsze, najszlachetniejsze, najpiękniejsze określenie naszej społeczności. Dał je przez natchnienie. Jest to zaprzeczenie tym krzywym sądom, jakie nawet i teraz Germania objawia Polsce o jej przeszłości. Lecz mamy wymiarkowanie — jesteśmy fałszywie sądzeni, albowiem nie jesteśmy rozumiani — a zrozumienie, ocenienie naszej historii, naszej samoistnej istności, przez nas samych udzielone być powinno.

III.

Po tym wyjaśnieniu, przez jakie względy naszemu piśmiennictwu, naszym historycznym poszukiwaniom nadajemy znaczenie tyle wielkie, tyle święte — sam Pan Maciejowski przyzna, że jego prac naukowych obojętnie niemogliśmy uważać — niemoglibyśmy niebyć najżywiej uderzeni temi fałszywemi tonami, które wprowadza do naszego myślenia o nas, o żywiołach naszej przeszłości nierozzerwanie powiązanęj z tem, czém jesteśmy. Nie mamy na celu żadnej podrzędnej polemiki. Takiej, jaka teraz powstała między nim a Panem Lelewelem, zawsze ciekawęj, zajmującęj, niemielibyśmy odwagi, nieuznalibyśmy potrzeby zaczynać. Może za daleko posuwamy nasze widoki, ale pragniemy, ocenić same myśli, ich wartość, ich treść, ich prawdziwe znaczenie, które Pan Maciejowski pojmuje a może i nie pojmuje — strona rażąca tej zewnętrznej, mechanicznej uczoneości, która ogromem wiadomości, przytoczeń i zbierania usiłuje wynagrodzić

niedostatek wewnętrznej, żyjącej wiedzy, przenikającej samo jestestwo narodowe, jego tajemnice i jego objawienie.

Pan Maciejowski czyni wyznanie szlachetne i głębokie, że tylko same czyny ma przedstawić — że mniemań, które dotąd o tych czynach przedstawiono, nawet dotykać niebędzie, — że wszystko oceni tylko pod względem historycznym. Wyznanie to i dla siebie przyjmujemy. Wezwiemy same czyny, te, które wybrał pan Maciejowski. Rozważymy je pod względem historycznym jedynie; to jest, wskażemy, jakie z tych czynów dla ludzkości wyniknęło błogosławieństwo albo nieszczęście, uzacnienie albo upodlenie. Spór dogmatyczny, spór o zwierzchnictwo między kościołami Zachodu i Wschodu odsuniemy chwilowo, nawet pominiemy; — i zapytamy same historyczne czyny, jakie dzieła wykonał kościół Wschodu Grecyi, ku któremu Pan Maciejowski ma tyle namiętnych skłonności — jakie spełnił kościół Zachodu, któremu Pan Maciejowski niejako złorzeczy — kościołowi, z którym Polska związała swoje dziesięciowiekowe historyczne życie. Wedle czynów jedynie poszukiwać będziemy, który kościół udowodnił swoje cywilizujące, swoje boskie posłannictwo; który kościół wychował, prowadził, wykształcił, i do tej potęgi wyniósł dzisiejszy świat, może lekko, może zaprędko zapominający, skąd wyszedł, przez czyje nawet i teraz oddycha natchnienie.

Pan Maciejowski we swoich poszukiwaniach nie pilnował położonej przezeń gruntowej metody. To było dlań nieszczęście. Przyrzekł same przedstawić czyny, oceniać, co zaszło, przez względy historyczne — własnych, czynami niepodpartych niewynosić opinii. Cóż uczynił przecież? Najistotniejsze względy historyczne pominął zupełnie, czynom, jakie wybrał, dał wytłómaczenie niepojęte, i do swojej wewnętrznej myśli, która im troskliwiej zastaniana tém żywiej uderzała, nakręcał gwałtownie kościoły Wschodu i Zachodu — dzieje Polski i Słowiańszczyzny. Nic nie dał oprócz opinii. Najsztuczniej, najtrudniej zbudował wielkie sofizma. Byłże Pan Maciejowski przynajmniej wierny temu, co sam jako dowiedzione i pewne

przedstawił? Nie. Powsuwał niepojednane sprzeczności — swoje własne założenie wywrócił twierdzeniami przeciwnymi stanowczo. Skąd takie sporności? Dajemy najłagodniejsze, najszlachetniejsze i może najprawdziwsze wytłumaczenie. Pan Maciejowski nie ma swojej własnej myśli — nierozumie jęj — rzeczy, które (jako zapowiedział) przezeń wyjaśnione być miały, w ich całości, w ich treści nieobejmuje — nie rozpatrzył wszystkich stron, wszystkich rysów, wszystkich światła i cieni obrazu. Lecz czyny! — mówi Pan Maciejowski. Nie trzeba nadużywać tęg pozornie spokojnej i pięknej bezstronności. Czyny — powiedziano głęboko — są myślami. Kto po za czynami nie widzi myśli, która je stworzyła, która im daje ich prawdziwe znaczenie, temu umiejętność historyi na zawsze pozostanie zamknięta i niewytłumaczona. Lecz właśnie tęg umiejętności widzenia samych myśli i samego ducha przez czyny, nie miał Pan Maciejowski jako wykładowca prawa Rzymu, nie ma jęj jako oceniacz kościoła Wschodu i Zachodu. Tym kierunkiem, jaki upatrzył Pan Maciejowski, nieposzło i niepójdzie człowieczeństwo. Temu kierunkowi, który Pan Maciejowski, — niechaj darować raczy — lekkomyślnie bożym nazywa, większa część Słowian winna swoje dotychczasowe umysłowe, polityczne i religijne tyle niskie wykształcenie. Odezwali się — przeczyli — sami wystąpili po za europejski świat — i cóżkolwiek powiedziane być może, dotąd nie mieli historyi. Ich duch, jako najtrafniej określił P. Cyprian Robert, zatrzymał się na pierwszym stopniu Germanii. Było w nich działanie, wstrząśnienie, często świętne, traiczne — życia, postępu, organicznego rozwijania się nie było. Katolicka Europa zdobyła wszystko. Słowianie, którzy odsunęli spółnictwo katolicyzmu Europy — sami skrzywili swoje wykształcenie — upadli — wpoili sobie żywioły długiej niemocy, może nieuleczonej, albowiem zachodzi pytanie, jaka będzie przyszłość narodów, które nieprzeszły przez katolickie wychowanie. To nie są poszukiwania. To są widoczności — to są najogólniejsze wypadki, dokonane, zamknięte, nad którymi dwóch

opinii mieć niewolno nikomu okazującemu pretensye myślenia.

Damy niejakię wyłómaczenie naszej myśli. Co następuje, jeżeli jaka roślinna albo zwierzęca istota jest zatrzymana we swoim rozwinięciu; kiedy jej organizm nieodbiera wykształcenia, jakie być odbierać powinien, kiedy jej życie, do swojej najwyższej nieprzyszło pełności? Naówczas wylęga się potwór. Jeżeli natura ma swoje organiczne kształcenie siebie, chociaż jej udzielone tylko, byłoby najdziwniejszem złudzeniem mniemać, jakoby duch nie miał swojego organizmu, jakoby jego objawianie się nie miało praw. Również organiczne rozwijanie się ducha społeczości wstrzymane, skrzywione być może — i naówczas taka społeczność przedstawia we swojej historyi coś rażącego, niepojętego, przeczącego, niweczącego. Skąd? Jestże to ironia szatanićnej potęgi wnosząca swoje zamieszanie do życia natury, do życia ducha nawet? Gdyby takie natchnienia miał we swoim umyśle Pan Maciejowski, przedstawiłby był odmienne uważanie Słowiańszczyzny, jej religijnej przeszłości. Pan Maciejowski popełnił błąd główny. Zamiast szukać i wynaleźć, jaka była myśl religijna, która podniosła, rozwinęła życie Słowian, jaka całem europejskiem kierowała człowieczeństwem: Pan Maciejowski położył sobie zagadnienie — odkryć we słowiańskiej przeszłości myśl, jaka w niej koniecznie być powinna. Stąd wojna przeciw najpewniejszym czynom — stąd najniepodobniejsze a najśmieliej postawiane twierdzenia — stąd oporność przeciw kierunkowi, jaki przez katolicyzm światu był nadany, stąd nakoniec najopłakańsza sprzeczność w samym Panu Maciejowskim, który zbudowawszy najsztuczniej swoje uważanie, niweczy je sam jednym wyrazem. Takiemu usiłowaniu niemożemy udzielić imienia poważnej pracy, dla wykonanej przez szacunek dla siebie, dla narodu, dla człowieczeństwa. Jest to nadużycie nauki, jej ponizienie — jej zastosowanie ku celom, które podobno odgadnęło powszechne uczucie. Najwszechstronniejsza nauka, najjenialniejsze przedstawienie, nigdy nie przekona

że naszój przeszłości nie uwieńczyła — długo zwycięzka i piękna, czasami męczeńska, zawsze błogosławiona korona. Pojmować siebie i kraj, przez umysł, przez rozumowanie, przez cytacye, jest to jedna strona, która pozostanie niezupełna, niewykończona, fałszywa nawet, jeżeli jój niedopełni serce. Tych najdalszych, tych ostatnich prawd Pan Maciejowski przez serce, ze serca nie widział. Jestże to omyłka — niemoc duchowa — czyli co innego — nierozbieramy.

Jakież przeto o Słowianizmie, o Polsce pod względem religijnym Pan Maciejowski wyrobił pojęcie, jakie, jak mniema, poczynił niespodziewane, najciekawsze odkrycia historyczne — wyznajem sami — niespodziewane, najciekawsze — albowiem zupełnie obce i najprzeciwniejsze temu, co dotąd zachowywała rzeczywista historia, czego istotnie ani europejskie, ani polskie, ani słowiańskie sumienie nigdy nie miało 1).

III.

Wedle tych niespodziewanych i prawdziwie nowych poszukiwań, które Pan Maciejowski pozwala sobie nazywać historycznymi odkryciami — wszyscy Słowianie chrystyanizm odebrali ze Wschodu — przez Konstantynopol

1) Czytelnicy nasi zapewne sami dostrzegli, że między Panem Cyprian Robert a Panem Maciejowskim jest dokładna zgodność, stanowiąca niechęć przeciw katolicyzmowi — niejako gniew przeciw Katolicyzmowi i Polsce — zamilowanie Słowian, którzy wyszli po za katolicko-europejski i polski kierunek. Ci Panowie widocznie są ożywieni przez jedno natchnienie. Pokazujemy czyn — natury czynu tłómaczyć nie chcemy — ani usprawiedliwiamy, ani potępiamy. Jedynie naukowo oceniamy. Wiadomo, gdzie powstało Towarzystwo, co rzuciwszy przeciw Polsce zarzuty, jakie dotąd tylko nienawiść rzuciła, ogłosiło katolickie wyznanie antysocyalnem, najfatalniejszym dla Polski — dało przeto usprawiedliwienie i zachęcenie tej polityce, która katolicyzm w Polsce koniecznie chciałaby wytępić. Jest to zastanawiające, i dla tego najważniejszym być powinno oznaczenie nowój politycznej, religijnej, narodowej myśli przeciw jój zewnętrznym i wewnętrznym przeciwnikom i fałszerzom, przeciw nienawiści i przeciw fatalnemu złudzeniu.

— wszyscy: państwo Wielkiej Morawii, Polska, Czechy, Illirya, Słowianie Węgier, Węgrzy, nawet Słowianie Elby 1). Rzym przybył później; — gdzie mógł, narzucił swoje panowanie, wyrzucił i zepsuł to, co kościół grecki pięknie i gruntownie założył. Rzym miał przywłaszczyć sobie to, co Konstantynopol początkował. Lecz jeszcze to prawda? Na jej udowodnienie Pan Maciejowski rzeczywistych, gruntownych, szlachetnych świadectw nie wymienia. Jest to opinia jedynie. Ottonowie, cesarze Niemiec, zniweczyć mieli Słowiański obrządek wprowadzony przez duchowieństwo wschodnie do Czech, do Morawii, do Szląska, do Polski 2). Lecz nasamprzód należało wykazać, że do tych państw, obrządek słowiański istotnie był wniesiony — naprzykład — że Polska przyjęła nie rzymskie, ale greckie religijne początkowanie. Tę pierwszą pracę Pan Maciejowski sobie nie zadał i jesteśmy usprawiedliwieni, jeżeli nie odstępujemy dotąd szanowanych historycznych pewności. Nagie słowo, domysł, naciągane tłumaczenie nie ustali naukowej wiary.

Do swoich twierdzeń, do swoich odkryć Pan Maciejowski przywiązuje największe znaczenie polityczne i religijne. Swojej myśli nie ukrywa. Jest ona najrozleglejsza — dotyka wszystkich słowiańskich stosunków minionych i teraźniejszych, wstrząsa gruntem naszej historycznej istności. Jako ocenić czyn, że większość słowiańskich narodów zatrzymała swój narodowy obrządek, że Carogrodowi zachowała posłuszeństwo? To być miało dla nich

1) Pan Maciejowski przyrzekł wszystko opierać na czynach, na wszystko, co mówi, wskazać dowody — źródła. Jakże spełnia swoje zobowiązanie? Mówi, że Słowianom Elby Carogród udzielił „pewne o chrześcijaństwie wyobrażenie.“ Co rozumieć można przez wyrażenie — *pewne*? Czyli Pan Maciejowski swoje mniemanie popiera jakim czynem? Żadnym. Czyli postawił jakie prawdopodobne domniemanie? Niema nic. Nie chcemy widzieć złej wiary. Lecz sąd najumiarkowańszy byłby zmuszony uznać, że to jest niewytlumaczona jękkomyślność. Pamiętnik s. 120.

2) Pamiętnik s. 104.

„błogosławieństwo boże.“¹⁾ Jakiemu wpływowi należy przypisać, że obrządek grecki u Słowian stanowczo przeważył i zwyciężył? Samemu Bogu, samój boskiej dobroci.²⁾ Bóg udzielił swoje błogosławieństwo Słowianom przyjmującym greckie wyznanie i greckie duchowne zwierzchnictwo. Bóg odebrał swoje błogosławieństwo Rzymowi i Słowianom duchownie uznającym Rzym. Dobroć Boga była nad Wschodem — dobroci Boga nie znał Zachód. Europejskie społecznosci wykształcone przez katolicyzm, wzniosły się do tój wielkiej potęgi — przez cofnienie się bożej dobroci, przez złorzeczenie. Społeczności słowiańskie zatrzymały się, prawdziwie nie żyły — zapewne dla tój przyczyny, że miały boże błogosławieństwo. Bóg był tylko na Wschodzie, we wschodnim kościele. Katolicka Europa nie czuła, nie miała we swoim duchu bożej obecności. Są to odkrycia rzeczywiście niespodziewane. Pan Maciejowski objawia, że katolicka Europa poszła fałszywym kierunkiem — nieboskim!

Pan Maciejowski wynalazł również, że państwo Węgro-Słowian, nasamprzód przyjęło wyznanie wschodnie, że później do katolicyzmu przeszło³⁾. To odstępstwo, to przychylenie się Węgier ku Zachodowi, uważa za naj-

1) Pamiętnik s. 81.

2) Le retour du rite oriental dans ces contrées et chez toutes les nations slaves, doit être attribué à la bonté de Dieu. Essai. 49.

3) Pan Maciejowski świętemu Wojciechowi przypisuje przejście Węgier i Polski pod zwierzchnictwo Rzymu, pod wpływ europejskiej cywilizacji. Święty Wojciech był przeto fatalnem narzędziem dla tych państw, które widocznie odstąpiła dobroć Boga spoczywająca jedynie nad wschodnim kościołem. Pan Maciejowski następnie określa działanie Ś. Wojciecha — „siecią wiary ulowiwszy Węgry, w takież *siłta* i Polskę złapał.“ Przez *siłta* zatem Polska do spólności europejskiej wprowadzona, na swoje nieszczęście! I pojęcie rzeczy i jój wysłowanie — ukazane gminnie, najuszczępliwiój. Ogólnie ani styl, ani myśl Pana Maciejowskiego nie mają powagi, często nie mają przyzwoitości. Ś. Wojciech nie popelnił, wedle Pana Maciejowskiego, tój zbrodni — a wedle nas nie posiada tój zastugi, dla prostój przyczyny, że Węgry, a szczególniej Polska nigdy nie były przywiązane do Wschodu, ani naukowo, ani hierarchicznie.

ogromniejsze dla nich nieszczęście — i takie, które dotąd trwa, rozwija się — wywarło „po tysiącu lat najfatalniejsze skutki.“ 1) Tych najfatalniejszych skutków Pan Maciejowski nie wymienia — stanowi jedynie, że nie być we wschodnim kościele, jest to nie odbierać dobroci Boga, jest to na swój naród wywoływać najfatalniejsze następstwa. Węgry za swoje odstępstwo przed dziesięciu spełnione wiekami, jeszcze całej nie odebrały kary. Ś. Wojciech, Słowianin, jedna z najpiękniejszych religijnych postaci — najżywiej przenikniony chrześcijańskim uczuciem — nieugięty i łagodny — męczennik — po odkryciach Pana Maciejowskiego okazuje się jako zły duch Węgrów i Polaków. Zaiste — prawda przedewszystkiem. Żaden wzgląd nie powinien wstrzymywać wymownienia historycznej prawdy, ani zastaniać nawet szlachetnych ułudzeń. Lecz poszukiwania, najwyżej niepewne, naciągane, często fałszywe zupełnie, prosto zmyślone, a prowadzące ku znieważeniu żywiołów religijnych, na których naród dziesięć wieków żył — takie poszukiwania niemożły być natchnione ani przez uczucie prawdy, ani przez głębokie zrozumienie europejskiej cywilizacji.

Pan Maciejowski wprawdzie Polski nie wymienił. Był dla niej grzeczny. Lecz loicznie i Polska, która przed dziesięciu wiekami kościół wschodu odrzucić miała, nawet po dziesięciu wiekach przygotowała dla siebie „najsmutniejsze skutki.“ Jest to najwyraźniejsze potępienie naszej historii. Jest to odstąpienie naszej narodowości. Polska przez dziesięć wieków żyła religijnym fałszem i dotąd zatrzymała fałsz religijny; — jest, gdzie nigdy być była nie powinna, na zachodzie, wśród Europy; — nie jest, gdzie jej koniecznie pozostać należało, we wschodnim kościele, który jeden doznawał i doznaje wpływu boskiej dobroci, który Słowianom przyniósł błogosławieństwo — kiedy i jakie? — nie pojmujemy. Lecz zatrzymajmy się. Pan Maciejowski zapewne niedługo ogłosi odkrycie, że Słowianie, którzy poddali swoje życie wschodniemu

1) Pamiętnik s. 113.

kierunkowi religijnemu, podnieśli siebie do tej najświetniejszej politycznej i umysłowej potęgi, do jakiej nigdy wznieść się nie mogły Polska i Czechy, obłąkane, zepsowane, do przepaści wtrącone przez katolicyzm. Pan Maciejowski nie doradza, aby Polska, odrzuciwszy swoje religijne wyznanie katolickie, weszła do kościoła, nad którym spoczywa błogosławieństwo boże — nie. Lecz wezwanie takie byłoby loiczne, naturalne i konieczne. Bo jestże inny sposób oddalenia tych „najfatalniejszych skutków?“

Zupełnie potwierdzamy wielkie i gruntowne zdanie, że przez rozdział kościoła na Wschodni i Zachodni — „kościół Chrystusa narażony został na wielkie nieszczęścia.“ Prawda — ale czyja wina? Kto wniósł rozerwanie? Na to nie potrzeba naszych poszukiwań. Historia wydała stanowczy sąd. Tych czynów dokonanych i uznanych stanowczo przez sumienie, przez umysł Europy, nie wywróci żadne tłumaczenie nowe, żadna potęga. Jest to usiłowanie stracone. Polska nie wyprze się swojej religijnej przeszłości — nie wymówi, a jeżeliby je wymówiono, nie przyjmie złorzeczenia przeciw swęj historii. Swojęj narodowęj istności za fałsz nie uzna.

Gdybyśmy powiedzieli — a powiedzić jesteśmy upoważnieni przez niewątpliwe świadectwo historii — że to, co przedstawia Pan Maciejowski, jest lekkomyślnem przeistoczeniem czynów — gdybyśmy chcieli nasze własne pojmowanie przedstawić: — Pan Maciejowski mógłby odrzucić nasze, jako mniema, opinie. Byłby spór między nim a nami — a właściwie między nim a tém, co jako pewnik przyjęła europejska wiedza. Lecz my sporu nie chcemy. Spór najłatwiej, najzupełniej skończymy, przytoczywszy to jedynie, co sam Pan Maciejowski wyraźnie mówi o kościele wschodu i zachodu, o tęg pod każdym względem rozumnej i dobroczynnej przemianie, która Polskę wprowadziła do religijnej, politycznej i historycznej europejskiej jedności.

I my przyjmujemy twierdzenie, że religia jest samym duchem narodu, żywiołem, z którego on wysnuwa całe swoje życie — swoje wszystkie objawienia umysłowe i

polityczne. Religijne pojęcie narodu stwarza wszystko, tłumaczy wszystko i dopełnia wszystko. Uczyńmyż zastosowanie.

Jeżeli prawda, że nad kościołem Wschodu spoczywało błogosławieństwo boże — jeżeli prawda, że narody, które przyjęły kierunek kościoła Zachodu i przezeń kształciły siebie, po dziesięciu wiekach są wystawione na „najsmutniejsze skutki“ odstępstwa, które popełnić miały: — jakże rozumieć należy to, co Pan Maciejowski mówi o państwie greckiem, a mówi słusznie — „państwo greckie coraz bardziej starzało się, słabło — spruchniałe państwo wschodnie — spruchniały tron Carogrodu — po śmierci Bazyljusza Cesarza, państwo do dawniej powróciło nicości.“ 1)

Jest to i nasze najgłębsze przekonanie. Lecz jakiz wpływ miała nauka, pod której wpływem państwo wschodnie słabło i pruchniało. Co? Nad kościołem wschodnim nieprzerwanie spoczywało błogosławieństwo boże, a tron Carogrodu pruchniał ze swoim społeczeństwem! Dobroć Boga ocaliła kościół Wschodu, a państwo greckie istniejące pod tym kościołem, wróciło do dawniej nicości? Zaiste! Pan Maciejowski pokazuje niespodziewane odkrycia i niespodziewane rozumowania. Błogosławieństwo boże państwu greckiemu udzieliło słabość i nicość! Narody słowiańskie, które ku temu wschodniemu przechyliły się i kościołowi i państwu, cóż odebrały? Także słabość i nicość! Życia, siły stwarzającej, której same nie miały, Słowianom dać nie mogły. I są widzialne „po dziesięciu wiekach najsmutniejsze skutki.“ Słowiańskie narody złudzone, we swoim najgłębszem jestwie zarażone tym żywiołem słabości, rozerwania i nicestwa, nie miały ani politycznej, ani umysłowej wielkości — nie miały historyi — i nie bez najwyższej mówimy boleści — były prawdziwemi nicościami. A jedna potęga najgłębiej przenikniona pojęciami Carogrodu polity-

1) Pamiętnik 57—98. Essai. L'Empire d'orient vieillissait et faiblissait de jour en jour. 19.

cznemi i religijnemi — oddychająca wstrętem ku Zachodowi, ku duchowi europejskiej cywilizacji, czemuż była, jest? Długo była niczem — fatalna samej sobie, fatalna człowieczeństwu. Tych rzeczy nie widzieć, nie pojmować, jest to nic nie widzieć i nic nie pojmować. Opuścić najwyżej zajmujące, tragiczne strony europejskiej historii, a zakładać nie pojmujemy, jakie i na jaki cel naukowe poszukiwania!

Państwo wschodnie pielęgnowane, wychowane przez wschodni kościół — słabło, pruchniało, upadło, znikło. Kościół Wschodu objawiłże przez czyny, przez zewnętrzne znaki, że miał, że czuł błogostawieństwo boże? „Mimo opieki udzielanej przez cesarzów, kościół wschodni coraz więcej utracił niepodległość.“¹⁾ Co to znaczy? Kościół służył państwu. Sam przez siebie nie miał władzy, nie miał życia, nie wierzył swojemu posłannictwu, nie mniemał, że odeń powinno wychodzić duchowe początkowanie; kościół był niewolnikiem. Podpierał spruchniały tron, sam pruchniał, nierzemniał, upadał i nakoniec wszedł do zupełnej, do najopłakańszej nicości. Temu fałszywemu stosunkowi kościoła i państwa na wschodzie, téj opiece, téj wyższości państwa nad kościołem, tym naukom przeniesionym do Słowian, przypisać należy ich długie odretwienie, niemoc ich ducha, polityczne i religijne znikczemnienie, niewolnictwo i nicstwo. Co wszystko przecież wedle odkryć Pana Maciejowskiego należałoby uważać za dowody dobroci Boga okazanej narodom, które przyjęły wschodni religijny kierunek i tyle ujmująco a tyle fałszywie rozumiany i przedstawiony słowiański obrządek!

Jeden rys więcej. Pan Maciejowski porównywa kościoły Zachodu i Wschodu i ich działanie. Jakież wydał sąd? Duchowni Rzymu mieli więcej gorliwości, energii, aniżeli duchowni Wschodu; gdzie weszli, gdzie zaczęli, spełnili śmiało i dobroczynnie swoje posłannictwo. Przeciwnie duchowni wschodni działali miętko — nie wie-

1) Pamiętnik 15.

rzyli swojemu posłannictwu 1). Jest to sprawiedliwe ocenienie ducha, jaki ożywił kościoły Wschodu i Zachodu. Cóż wyniknęło? To, co koniecznie przez takie działanie wyniknąć musiało. Kościół Zachodu założył, prowadził i wychował europejskie człowieczeństwo. Był dlań prawdziwie boskim działaczem. Przezeń żyjemy, przezeń dalsze wykształcamy życie. Katolicka Europa rozwinęła najwyższe duchowe potęgi. Lecz państwa Grecyi niema, a stan umysłowy polityczny i religijny wszystkich Słowian, którzy przyjęli początkowanie wschodnie, którzy swego ducha obłąkali i złamali żywiołami religijnymi wschodnimi — podobno nie dowodzi, że owemu kościołowi wschodniemu, owym słowiańskim społecznościom oderwanym od Zachodu, od europejskiej jedności, towarzyszyło i towarzyszy błogosławieństwo boże. Rozdział kościoła na Wschodni i Zachodni, wydał najfatalniejsze skutki — nie zaprzeczamy — ale tych najfatalniejszych skutków między Słowianami odszczepionymi szukać należy. Jedność świata wyobrażał Rzym, a przezeń Europa. Oderwanie wyobrażał Carogród i jakie następstwa? Najdobitniej wskazał je sam Pan Maciejowski — słabość, zgrzybiałość, spruchniałość, nicość 2).

Pan Maciejowski najsmieliej twierdzi, że u nas pano-

1) Pamiętnik 25. Le clergé romain montra toujours plus d'énergie pour propager la foi chrétienne — le clergé grec n'agissait qu'avec mollesse. Essai.

2) Depuis quatre siècles une haine sourde convait dans l'âme du clergé grec. Essai 71. Pan Maciejowski zna przeto duchowieństwo wschodnie dawne i nowe. Jest to uosobienie nienawiści przeciw Rzymowi, przeciw Zachodowi, zapewne natchnionej przez owe błogosławieństwo boże. Kiedy 1339. Ruś południowa przechodziła pod kierunek polski, który udzielił jej niepodległość, polityczne swobody i europejskie wykształcenie — niektóre Bojary wezwały Tatarów, chciały uznać panowanie Pogan. Kościół narodowy rusko-wschodni tyle upodlił sam siebie i swoje społeczeństwo, którem kierował. Czyn przytoczył sam Pan Maciejowski. Jesteśmy jemu najwdzięczniejsi za dowody, które sam dostarcza na wywrócenie swoich opinii i swoich odkryć.

wał słowiański obrządek 1). Jest to najzupełniejsza historyczna nieprawda. Lecz przypuszczamy, że Polska miała przed 965. słowiański obrządek, że naukowo i hierarchicznie ulegała Carogrodowi, że później Rzym zwyciężył, że Święty Wojciech naród polski ku katolicyzmowi nakłonił. Przyjmujemy wszystko, cokolwiek Pan Maciejowski twierdzi. Zbłądziłaż Polska, jeżeli odrzuciła Carogród — jeżeli weszła do religijnej, politycznej i umysłowej wspólności Europy? My nie mniemamy. Lecz co dziwniejszem, Pan Maciejowski także nie mniema, jego rozumowanie jest tyle jasne, tyle stanowcze i tyle gruntowne, że je dosłownie tłómaczymy. „Mieczysław, a jeszcze więcej Bolesław Chrobry, wprowadzając do Polski łaciński obrządek, wynieśli swoje państwo nad ruskie sąsiednie narody, wierne obrządkowi kościoła Wschodu.“ 2) Katolicyzm przeto wzniosł narody: kościół Wschodu zniżał je, psował ich nawet religijne wykształcenie! „Nawczas położenie politycznych stosunków było takie, że wszelki naród, który miał wstręt przyjęcia zachodniej polityki, powinien był oczekiwać, że dalej nie postąpi — état stationaire — albo nawet, że przepadnie.“ 3) Najpiękniej! Najgłębiej! Jest to gruntowne ocenienie historii tych słowiańskich społeczeństw, które przyjęły panowanie kościoła Wschodu. Ale razem jest to i potępienie kościoła Wschodu, który przez rozerwanie jedności chrześcijaństwo, a co koniecznem następstwem być musiało, przez rozerwanie jedności człowieczeństwa Europy — państwo Grecyi i siebie zatracił, a szlachetne, nieszczęsne słowiańskie społeczności złudziwszy, jedne zatrzymał, drugie do upadku, do nicości zaprowadził. A jeżeli przetrwała jaka społeczność słowiańska, zbudowana przez religijne greckie żywioły, przez nienawiść, przez przecze-

1) Pamiętnik — ma *panował*. Essai jeszcze świetniej mówi: le grec florissait dans les états. Kwitnął — za Mieczysława przed 965. Pan Maciejowski ślub Mieczysława i Dąbrówki naznacza 955. Co nie jest niepodobne.

2) Essai: 250. Pamiętnik 262.

3) Essai: 250.

nie, przez oddzielenie się — jako widno, jest to potęga, która ku najdalszym granicom posunęła zepsucie, duchowe zle.

Polska zatem, przyjmując katolicyzm, wprowadziła do swojej narodowej istności żywioł postępu — swojego bytu — odwróciła swój upadek, przyswoiła sobie siły, któremi się wyniosła nad wszystkie słowiańskie społeczności. Jakiegokolwiek zewnętrzne, przemijające położenie jej być może — zdobyła sobie pierwszeństwo między Słowianami — nie pierwszeństwo dumy, ale zasługi, poświęcenia i męczeństwa. Nie masz ani jednej strony, ani jednej epoki dziejów Polski, dla których nie mielibyśmy najgłębszej czci, najżywszej miłości. Jakie przekleństwo, jakie obłąkanie duchowe — nie szanować, nie miłować, odstępować swęj matki! przez wzgląd podobno, że nie-szczęśliwa, że poniżona!

Bolesław Chrobry przyjęciem polityki Zachodu, uznaniem Rzymu nie tylko samej Polsce zapewnił postęp, życie — dał zbawienie. Bolesław Chrobry, mówi Pan Maciejowski: „swoj kraj i podobno Ruś od zguby zachował.“¹⁾ Jest to najszcześniejszy pomysł — jest to prawdziwe uważanie dziejów Polski. Polska najazdowi Germanów postawiła opór niepokonany. Polska przed Krzyżakami zastoniła lettońskie i ruskie narody. Polska nie pozwoliła Mongołom wynarodowić i stanowczo ujarzmić Rusi. Polska przygotowała, zapewniła usamowolnienie nawet Moskwie! Polska zbawiła wschodnie kraje Europy. Gdyby nie Polska, wedle wszelkich podobieństw, nad brzegami Wilii panowałaby Germania, a za Dnieprem Mongolizm! Gdyby nie wpływ i heroizm Polski, ożywionej i kierowanej przez katolicyzm, dzisiejsza rzymska potęga nawet powstaćby nie mogła. Lettonom, Rusi, moskiewskim ludnościom groziło zatracenie, czyli, jako mówi sam Pan Maciejowski — zguba! Opatrzność wskazała Polsce trudne, ale razem dobroczynne posłannictwo dla niej samej, dla Słowian, dla Europy. Polska przyjęła je

1) Pamiętnik 160.

— i spełniła. Bez pojęcia téj myśli, bez uznania téj wiary historya polska ani rozumiana, ani przedstawiona być nie może. Ta myśl niezawodnie była w duchu Pana Maciejowskiego, który jęj zatrzymać nie umiał, czyli nie chciał. Był przerażony jęj światłem. Święty Paweł ujrzał światło, uznał je i powitał. Pan Maciejowski ujrzał światło, rzucił je i upadł.

Po takich sprzecznościach, które Pan Maciejowski sam przeciw sobie popełnił — jego teoria widocznie niema naukowej pewności, żadnej moralnej podstawy. Pan Maciejowski nie może jęj przedstawić jasno, loicznie, bez zadania fałszu samemu sobie, bez targnienia się na to, co nauka i sumienie europejskie za pewność przyjęły, przeciw czemu nie ma odwołania. Pan Maciejowski naszym zdaniem nie wykształcił się potrzebnych temu przedsięwzięciu, które zamierzył. Chcieć oceniać żywioły wewnętrzne Polski — jęj ducha — kierunek europejskiej cywilizacji, nieustawiawszy pierwej, wo własném myśleniu, porządku jasności i zgody! Jego myśl jeszcze nie znalazła miary na objęcie wielkich historycznych postaci.

Zaiste pisarz objawiający najsmutniejsze umysłowe obłąkanie, może znaleźć usprawiedliwienie, może zatrzymać szacunek, jeżeli nic nie widział, nic nie znalazł, czémby rozproszył złudzenie. Lecz téj nawet zawsze przykręj obrony nie może wezwać Pan Maciejowski. Widział, znalazł prawdziwe pojęcie, przedstawił je — a wybrał sobie niewdzięczne, niepodobne, niepobożne szperanie, aby pokazać, że Polska przed dziesięciu wiekami, odsunawszy podane jęj przez kościół wschodni błogosławieństwo boże, na fałszywym i złym żywiole oparła swoje religijne, umysłowe i polityczne wykształcenie. Ostatnie następstwo swęj teorii Pan Maciejowski przemilcza. Jaki sposób zniweczenia tych „najsmutniejszych skutków,“ które nie same Węgry, ale i polskie społeczeństwo dotknęły? Widocznie, Polska uczyniłaby pięknie, rozumnie, gdyby dopełniła odstępstwo swęj historycznej istności, gdyby się wyparła swojej dziesięciowiekowej historyi — a na jęj miejsce, wezwała „błogosławieństwa bożego,“ z kościoła

wschodu, czyli, jako także naucza Pan Cyprian Robert, aby Polska przyjęła słowiańsko-wschodni kierunek. Nie jesteśmy tłumaczami Opatrzności, ale najmocniej wątpimy czyliby Polskę zrozumiała i szanowała Opatrzność, gdyby polecone jej przez tych dwóch Panów przedsiębrała przeobrażenie, gdyby popeliła historyczne i religijne samobójstwo — pod pozorem, że — niewiemy, skąd i kiedy — odbierze życie nowe, prawdziwiej słowiańskie i chrześcijańskie. 1)

1) Pan Maciejowski, przeciw zmarłemu szlachetnemu i uczonemu Kopitarowi, utrzymuje, że Polska miała słowiański obrządek, wschodnie wyznanie. Lecz Kopitar we swoim pięknym dziele Glagolita Clozianus wykazał, że Rzym Słowianom zachodnim dał początkowanie religijne, że u Słowian zachodnich powstał słowiański język biblijny i przedmiot ten ważny zostawiamy naszemu późniejszemu ocenieniu. Kopitar Panu Maciejowskiemu zarzucił wyraźne, rozmyślnie fałszowanie i nakręcanie historycznych czynów. My jesteśmy umiarkowańsi, i czyli popeliła rozmyślnie fałszowanie historii kościelnej polskiej i słowiańskiej, sąd jeszcze zawieszamy. Pan Maciejowski przytoczył wyobrażenie naszego ludu, że dlań Szatan, jest to Niemiec. Nieprzeczmy — sposoby, przez które dawna Germanija u Słowian zakładała swoje panowanie religijne i polityczne, usprawiedliwia żywe Słowian niechęci. Nad to, co Pan Voigt powiedział, więcej i surowiej nie twierdzimy. Kopitar Słowianin, musiał mieć uczucie najgłębsze o skrzywionym umysłowym kierunku Pana Maciejowskiego, kiedy następne kreślił wyrazy: — *utinamque polonis numquam veriores germanicis diaboli obveniant* — *Hesychii Glossographii* — s. 58. Vindobonae 1840.

Pan Maciejowski, na poparcie swój teorii, przytacza następane uczone powagi. Dobrowski, Palacki, Bandkie, Siarczyński, Siemiński. Trzem ostatnim odmawiamy przewagę stanowczą. Dobrowski prawdziwie uczony — przyznał 1814., że alfabet święty słowiański powstał u Słowian Zachodnich — między Węgrami. — 1823. zmienił, umiarkował swoje zdanie. Wiemy, jakim fatalnym wpływom albo oplakanymludziom ulegli niektórzy uczeni Słowianie. Jednak Dobrowski ma następujące twierdzenia, zadające fałsz temu, co Pan Maciejowski nazywa odkryciami ważnemi, historycznemi. „Zu Böhmen und Polen ward *nie* das cyryllische Alphabet oder die methodische slavische Liturgie ausgebreitet.“ Nigdy! Glagolica, s. 34. Wydanie Hanki, 1832. Teoriom Pana Maciejowskiego, odrzuconym wszędzie przez najwyższe powagi naukowe, mniemamy, udzielił zatwierdzenie Przenajświętszy Synod Petersburski — a może i dał pierwsze natchnienie.

IV.

Po wykazaniu, że sama zasada teorii Pana Maciejowskiego nie może być usprawiedliwiona czynami historycznymi, ani warunkami, przez które jedynie europejska ludzkość odebrała swoje dzisiejsze wykształcenie, nie mamy potrzeby rozbierać całego podrzędnego rozumowania. Trudno, przykro oceniać autora, który we swoim własnym umyśle nie ma porządku i zgodności. Pan Maciejowski poruszył — chętnie przyznajemy — najważniejsze przedmioty: początki chrześcijaństwa między Słowianami, u nas Polaków — zupełnie katolickie postacie Kirilla i Metodiusza 1) — tyle niewłaściwie nazywany oderwanym wschodnim kościoł dawniej Rusi, rozerwanie jedności kościoła. Lecz zamiast razjaśniania, wszystko zaciemnić i przeistoczyć usiłował. Może o tych przedmiotach nasze własne przedstawimy pojmowanie — albowiem uważamy za użyteczne, wywrócić wszystkie podpory, usiłujące sfalszować nasze dzieje, obłąkać narodowy umysł.

Wykażemy atoli, jako Pan Maciejowski uważa rozerwanie jedności rządzącej i naukowej kościoła. Pan Maciejowski rozerwanie nazywa nieszczęściem, żeń wyniknęły „najsmutniejsze skutki“ dotąd trwające. Nie zaprzeczamy. Lecz gdzie początek tej wielkiej zbrodni — gdzie wina — gdzie odpowiedzialność? Pan Maciejowski

1) Rzym dał Metodiuszowi i Kiryllemu upoważnienie nawracania Słowian. Rzym nie Carogrod uznał ich Świętymi — niebyłby nigdy uznał, gdyby byli odstąpili rzymskiej jedności pod jakimkolwiek względem, naukowym albo hierarchicznym. Papież Kirylla i Metodiusza do Rzymu wezwał. W jakim celu? Wyjaśnia Pan Maciejowski. Kirylli i Metodiusz zarażeni zepsuciem, które niweczyło kościół Wschodu, pozwalali „pratiquer des céremonies chrétiennes suivant le mode payen. Essai. s. 238. Kościół Wschodu przeto jednoczył Poganizm i Christianizm a właściwie psował i fałszował ostatnie. Jest przeto wytlómaczenie, czemu nawet do tej chwili myśl chrześcijańska nieprzeniknęła wewnętrznej istności Słowian wschodniej nauki. Jednak Pan Maciejowski widzi jedynie potwarz, naganne uniesienie, kiedy Rzym wyznawców kościoła Wschodu mianował demi-chrétiens. Essai. s. 219. Kościół Rzymu sądził surowo, ale sprawiedliwie.

raczej kościołowi Rzymu oznajmia swoje potępienie. Nad kościołem Wschodu spoczywać miało „błogosławieństwo boże.“ Maż Pan Maciejowski przynajmniej pod tym względem jasne, zgodne we wszystkiem, pewne sobie przekonanie? Nie — znowu nie rozumie siebie. Twierdzenia przyjmuje piękne, gruntowne — wnioski najfałszywsze, najsprzeczniesze własnemu założeniu. Jaki umysł dziwny, wahający się, niweczający sam siebie — bez miary — bez pewności — bez wiedzy — prawdziwie chaotyczny!

Pan Maciejowski, jako zwyczajnie, sam przeciw sobie dostarcza czynów i dowodów. Sami nie rozumować, nie wykazywać nie chcemy. Pan Maciejowski ustanawia następne prawidła — papież rzymski zajmuje pierwsze miejsce — patriarchy Carogrodu drugie. Chrystus, naczelnictwo chrześcijańskiej społeczności powierzył Piotrowi, swemu pierwszemu uczniowi. Piotr jest węgielnym kamieniem kościoła, wiecznie 1). Najwyżej namiętny stronnik papizmu nie mógłby powiedzieć wyrażniej. Pan Maciejowski złożył najściślej katolickie wyznanie. Jakież wniosek konieczny? Gdzie papież, tam naukowo, hierarchicznie i *historycznie* jedność kościoła — jedność i religijną i polityczną społeczności, jedność człowieczeństwa. Po za kościołem Rzymu tylko zamieszanie, tylko rozerwanie — nie życie, nie wykształcanie, nie dopełnianie, ale przeczenie i osłabianie chrystianizmu.

Zkąd powstało rozerwanie? Pan Maciejowski, który nie wewnątrznie, nie głęboko pojmować nie może, wynalazł powód rozerwania zewnętrzny, podrzędny. Między Rzymem a Carogrodem powstał spór, do której dycezyi ma należeć Illirya. Przyjmujemy — ale pytamy, mógłże patriarchy Carogrodu, drugie zajmujący miejsce, podnosić spór przeciw pierwszemu, przeciw jedynemu naczelnikowi, przeciw węgielnemu kamieniowi kościoła? I o co? O posiadanie, o kierunek hierarchiczny Illiryi! Papież zatem, naczelnik nie miał prawa rządzić kościo-

1) Pamiętnik s. 7.

łem, oznaczać granic dyecezyi, nie miał zewnętrznej administracyi kościoła?! Patriarcha Carogrodu miał lepsze prawo rządzić kościołem, przenosić, określać dyecezye! Lecz to jest prosta śmieszność. Patriarcha Carogrodu robił przywłaszczenie, zaczynał bunt, oderwanie, niweczył jedność.

Miałże patriarcha Carogrodu jakiegokolwiek usprawiedliwienie? Pan Maciejowski przytacza postanowienie Konstantego cesarza wydane 330., mówiące, że wszystkie ludy powinny być téj wiary, jaką podaje papież Rzymu — *divinum Petrum Apostolum tradidisse Romanis*. Wyobrażeniem przeto naukowej jedności kościoła, a przez konieczne następstwo: rządem naczelnym kościoła był papież Rzymu jedynie. Konstanty cesarz patriarchy Carogrodu nawet nie wymienił. Patriarcha Carogrodu nie był początkiem i gruntem ani naukowej, ani rządzącej jedności kościoła. Czem był — był jedynie przez papieża Rzymu. Nauki — władzy pilnującej wykonania nauki, obowiązanej dawać jej tłumaczenie, jej zastosowanie, jej rozumienie — nie wolno rozdzielać. Jest to organiczna jedność — władza, rząd, jedność społeczności — tłumaczenie i życie nauki, jej historyczne coraz głębsze rozwijanie się. Bez przyjęcia, bez zachowania jedności, nie ma ruchu, nie ma postępu, nie ma doskonalenia. Jest to powszechne prawo dla społeczeństw religijnych i politycznych 1).

Cesarze Konstantynopola długo utrzymywali swój właściwy stosunek do Rzymu, jeżeli zrywali, wracali doń — atoli zawsze niepewnie, niesumiennie, zdradziecko. Mimo pięknych, do ostatniej chwili ponawianych usiłowań, myśl chrześcijańska, żyjąca, stwarzająca, do ducha cesa-

1) Pan Maciejowski przytacza mnogie dowody, że biskupi nazywani wschodnimi jeograficznie, politycznie, chwilowo złudzeni — jednak ciągle zwracali się ku Rzymowi. Pan Maciejowski mówi: „wszystko wrócić miało ku dawnemu porządkowi.“ Pamiętnik s. 16. ku jakiemu dawnemu porządkowi? Ku naukowej i rządzącej jedności kościoła. Jedność przeto — to była dawność; a oderwanie — wznowieniem — złamaniem jedności — oddzieleniem.

rzów Konstantynopola, do tój zbląkanój politycznie i religijnie społeczności Wschodu wstąpić nie mogła. Państwo i kościół runęły i zapewne nie przez spór o posiadanie Illiryi, jako mniema Pan Maciejowski, wszystko usiłujący tłómaczyć przez najpodrzedniejsze, powiedzmy, przez najnędnieszę drobności. Wyznał jednak — „cesarze Wschodu co do nauki — pour le spirituel — zawsze pozostali ulegli papieżom, jako naczelnikom katolickim kościoła.“¹⁾ Zgadząmy się. Jakimże powodom Pan Maciejowski przypisze oderwanie — późniejsze zaprzeczenie nawet i naukowej jedności? Czem usprawiedliwi słowiańskie narody, które Rzym odrzuciły? Czyli błogosławieństwem bożem? Rząd i kościół Moskwy mniema, że wyobraża kościół i wyznanie Wschodu dawne, jedynie prawowierne. Pan Maciejowski wedle własnej nauki, wedle własnych przekonań, mógłby i powinien oznajmić rządowi i kościołowi moskiewskiemu, aby przynajmniej co do religijnych stosunków, dogmatycznie uznał jedność Rzymu, zwierzchnictwo duchowne. Dla ich oderwania, dla ich przeczenia Pan Maciejowski nawet nie znalazł i nie odkrył historycznej podstawy, albowiem sam i najpiękniej papieżom Rzymu przyznał naczelnictwo kościoła²⁾.

Focyusz Patriarcha Konstantynopola pierwszy zaczął na rozerwanie — pierwszy założył przeczenie naukowej i rządzącej jedności kościoła. 867. Usiłowanie, fatalne dla samej Grecyi, upadło. Święty Ignacy Patriarcha Konstantynopola, jako mówi Pan Maciejowski, „pełen cnót“ przez knowania Focyusza złożony, i znowu przywrócony, był posłuszny Rzymowi; kościół Carogrodu niezrywał je-

1) Essai s. 17.

2) Pan Maciejowski pisze — lorsque les deux Eglises commencèrent à chanceler dans l'unité. Essai. Żadna myśl Pana Maciejowskiego nie jest jasna. Nie było dwóch kościołów. Był tylko jeden kościół Rzymu kierujący wszystkim, początkujący wszystko. Kościół Rzymu nie chwiał się w tój jedności, której nigdy nie odstąpił, o której nigdy nie wątpił, której pozostał niezachwianym, nieprzerwanym historycznym wyobrażeniem i zewnątrz i wewnątrz.

dnosci. — Stefan Patryarcha 892 Papieżowi Stefanowi V. wyznał: „wiemy, że Twoja Apostolska stolica nami rządzi i kieruje.“ Jest najniewątpliwsza historyczna pewność, że do 1054 trwała rzeczywista naukowa i hierarchiczna jedność kościoła. Był tylko jeden kościół Rzymu — panowało najściślej związane katolictwo. Za epoki przeto najzupełniejszej jedności kościoła — państwo Wielkiej Morawii — Czechy — Polska i Ruś przyjmowały chrześcijaństwo — wchodziły do naukowej i hierarchicznej jedności kościoła. Mowa obrzędowa, liturgiczna, słowiańska być mogła — mogli Słowian nawracać duchowni wysłani przez Carogród. Nieprzeczymy, przyznajemy chętnie. Ale nauka, władza i kierunek były katolickie. Słowiański obrządek, jeżeli tylko u nas istniał i gdziekolwiek istniał — nieznaczył oderwania, niebył znakiem powstania przeciw jedności Rzymu, przez najprostszy wzgląd, że do 1054 rozdzielenie kościoła Zachodu i Wschodu, dogmatycznie i hierarchicznie jeszcze nie istniało. Kościół był jeden. Focysz, założyciel rozerwania, czemże był? „Najuczepszy i najprzebieglejszy.“ 1) Lecz ósmy Synod Powszechny dał wyraźniejsze, prawdziwsze określenie moralnej i historycznej natury Focysza. „Zrodzony do przewrotności, jakiej nie miał żaden śmiertelny.“ Taki przecież człowiek dał początkowanie temu, co nazwano kościołem Wschodnim, wschodniem, greckiem, ruskim i rosyjskim narodowem, słowiańskim wyzna-

1) Maciejowski — Pamiętnik 98. Piotr Pierwszy Imperator Rosyji, przed założeniem Synodu, miał zamiar, miał postanowienie zniweczyć oderwanie, naukowo i hierarchicznie uznać naczelnictwo Rzymu. Adrianowi, ostatniemu Patryarsze moskiewskiemu, mówił: *eventum hujusmodi jucundissimum sibi futurum, nullum esse alium in Occidente Patriarcham, praeter Romanum.* Piotr I. 1720. polecił duchowieństwu moskiewskiemu uznać Rzym, a kiedy odmówiło, Piotr oznajmił zgromadzonemu Biskupom: „Jedyny prawy Patryarcha na Zachodzie jest Papież, a kiedy jemu uległymi być niechciecie, odtąd mnie samemu będziecie posłuszni.“ Jaka szkoda, że Piotr téj wielkiej myśli nieurzeczywistnił! Rosyja byłaby się kształciła pod kierunkiem i swoich własnych i europejskich wyobrażeń, byłaby weszła pięknie i spokojnie do cywilizacyi, do życia, do jedności Europy. Rosyja omyliła się.

niem — Przez przewrotność do ludów słowiańskich „błogosławieństwo boże“ wstąpić niemogło, i rzeczywiście nie wstąpiło. —

Zatrzymujemy się teraz, na wykazaniu powodów, dla których odrzucamy takie uważanie naszych religijnych dziejów, jakie sobie wyrobił Pan Maciejowski. Spór dogmatyczny między Kościołami Zachodu i Wschodu opuszczamy. Kościoły Zachodu i Wschodu oceniliśmy jedynie historycznie; jedynie przez skutek, jaki wywarły na rozwinięcie albo pociżenie sławiańskiej cywilizacji. Jednak jesteśmy mocno przekonani, że głęboka różnica historyczna między społeczeństwami wykształcanymi przez Rzym i Carogród ma najgłębsze dogmatyczne, duchowe podstawy. Z nich życie, z nich śmierć. —

Pan Maciejowski przyrzeka dalsze poszukiwania o Rusi, o jej religijnej i politycznej historii. Czekamy. Powątpiewamy przecież, aby potrafił dać jej prawdziwe wytłomaczenie. Rusi za Dnieprem, Moskwy, Rusi przed Dnieprem, która niemogła utrzymać swęj samoistności, która zostawiona samęj sobie, niezawodnie byłaby zniknęła pod napływem Mongołów, Lettonów, a może i Niemców, zrozumieć niemożna, bez przyjęcia Polski, bez uznania jej wpływu na wykształcenie, na ocalenie rusko-letońskich ludności. Myśl poruszająca świat Słowian, jestto Polska. Lecz właśnie Polski Pan Maciejowski jeszcze nie zna, i wszystko mówi, że jej nigdy niepozna — albowiem ku temu ocenianiu przynosi usposobienie niestósowne, fałszywe, zupełnie przeciwne duchowi, przez jaki Polska wykształciła swoje historyczne życie. Dał powierzchowne i najdziwniejsze zastosowanie historycznej metody, której ma być zwolennikiem.

Tym zasługom, jakie rzeczywiście położył Pan Maciejowski, chętnie wynurzamy sprawiedliwość. Zamiatanie słowiańskich rzeczy szanujemy, jednak zyczylibyśmy, aby Polsce cokolwiek wyższe zostawił znaczenie, takie, jakie Polska historycznie zdobyła. Słowiańszczyzna myśli polskiej osłabiać, psować, niweczyć nie powin-

na. Polska niezawodnie pod każdym względem najpiękniejszą, najżywiej, najwierniej zachowała i rozwinęła słowiańskie jestestwo.

Jeżeli nasz sąd ogólnie powiedzieć mamy, Pan Maciejowski nie jest ani pięknym pisarzem, ani głęboko myślącym. Jego duch jeszcze siebie nie pojął i podobno nigdy nie pojmie. Jego sposób przedstawienia nie ma jasności, nie ma wielkości, niczem nie uderza, niczem nie ujmuje: jego myśl i jego słowa — pospolite, nieożywione. Po zajmujących, po jeniałnych pracach wykonanych przez Guizota, Thiersa, Micheleta, Lingarda — jesteśmy trudni, wymagamy wiele. Nasz umysł spowźniał, nasze uczucie nabrało delikatności — nawet szczęśliwej mierności nie damy zatwierdzenia. Chcemy, a mamy prawo chcieć, aby nasze piśmiennictwo pod względem pojmowania i przedstawienia narodowej historii, wyrównało europejskiemu — warunki, na których spełnienie Pan Maciejowski nie ma koniecznych duchowych usposobień. Jego umysł nie odebrał i mniemamy nieodbierze, ani wykończenia, ani poświęcenia.

Literatura Angielska z pięćdziesięciu lat ostatnich.

(Ciąg dalszy.)

Wilhelm Cowper (1731—1800).

Najszlachetniejszym a razem najwyraźniejszym przymiotem utworów Cowpera jest poetyczna sumiennosc. Píše zawsze z serca, bez namysłu, prawie bez przyboru. Bierze pióro do ręki nie dla tego, że się wyuczył śpiewnego rytmu, że znalazł albo zwrot doycipny, albo zgrabne wyrażenie, ale temu, że mu myśl wieszczą w piersiach kołata i że czuje potrzebę a powinność dać jej świadectwo na zewnątrz. Odrzuca więc wszystko, co jest prózną błyskotką, igraszką, bawidłem. Zawsze czerpiąc we własnym natchnieniu, obchodzi się bez pożyczki u obcych, występuje w swój rodzinnej chudobie, bez względu czy mu nie przygania modne reguły i istniejąca etykieta. Nie brak mu i innych znakomitych zalet, nie brak na głębokiem uczuciu, na twórczej wyobraźni, ale przedewszystkiem w jego poczytach należy uważać na tę duchową rzetelność, bo ona to postawiła go na czele tej epoki, która dla tego tak obfite wydała plony, że wyswobodziwszy się z więzów nałożonych przez Popego i jego szkołę, wróciła na przestronną drogę szczerości i rzeczywistego uczucia. Jest pewna pociecha w tém

wielkiem dostojenstwie, tak powszechnie dziś Cowperowi przyznanem, bo dowodzi, że równie w historii jak i literaturze, kiedy fałsz, przymus, rozpusta rozumu i serca, strwoni siły i zatamuje postęp narodu, to niekonięcznie potrzeba nadzwyczajnego geniuszu, często człowiek prostoty i rzetelności wystarczy, by go zwrócić na szeroki gościniec żywota.

Wilhelm Cowper urodził się w r. 1731. z rodziny szlacheckiej, która zajmowała i do dziś dnia zajmuje wysokie stanowisko w arystokracji angielskiej. Dziad jego był jednym z pierwszych sędziów w królestwie, a młodszym bratem kanclerza i pierwszego hrabiego Cowper. Ojciec był kapelanem Jerzego II., matka, spowinowacona z najpierwszemi domami, wywodziła swój ród czterema liniami od króla Henryka III. Tak znakomity rodowód nie dodaje nic zapewne do bogatego wieńca poety, ale przysparza blasku cichości i pokorze człowieka, a cichym i pokornym Cowper był całe swe życie. Matka odumarała go niemowlęciem, bo zaledwie wtedy szósty rok liczył. Tkliwa dla niej pamięć i cześć, równająca się ubóstwieniu, towarzyszyła mu aż do grobu, a w ciężkich przygodach życia opiekuńczęm osłaniała skrzydłem. Nic niema rzewniejszego, nic powabniejszego prostotą i utęsknieniem, jak wiersz, który w późnych latach napisał do jej portretu. Z dziwną niewinnością wraca do lat dziecinnych, igra u kolan matki, rachuje kwiaty na jej sukni; przypomina sobie, jak cichą stopą skradała się do jego pościania, czy śpi, czy dobrze otulony, i składała mu pocałunek i błogosławieństwo na czoło; a nad rankiem co za uciecha, gdy go sama ubierała i muskała, by był gładki i pięknie między rówienikami wyglądał; a cóż dopiero, gdy przybranego w czerwony płaszczyk, w aksamitną czapeczkę, stary ogrodnik Robin na wyplatany wózek ciągnął do szkoły jak na tryumfalnym rydwanie; lecz przyszła godzina boleści, słyszy jeszcze dźwięk pogrzebowego dzwonu, widzi czarny karawan, który mu zabierał ciało jego drogiej mamy, woła za nią z okna garderoby, pyta niańki: czy prędko ona

powróci? jutro i jutro — czeka zawsze tego jutra, ale na próżno, bo jak mówi:

*Codzień mnie uwodziła nadzieja zdradziecka,
Bom był ofiarą jutra już nawet od dziecka.*

Ten wiersz:

Dupe of to-morrow even from a child.

zda się być treścią i wykładem całego pasma tęsknych jego zawodów. Po śmierci matki oddano go do szkoły, lecz dokuczliwość współ-uczniów, którzy wrodzoną mu nieśmiałość i cichość brali za przedmiot zbyt dotkliwych igraszek, wkrótce go ztamtąd usunęła. Ojciec wysłał go później do akademii Westminsterskiej, gdzie podówczas wielu, w dalszym czasie znakomitych, kształciło się ludzi. Cowper patrzył na nich z uwielbieniem, ale zbliżyć się nie śmiał. Osobliwie Churchilla podziwiał, chciwie przysłuchiwał się jego rozmowom, lecz od jego stóp oka podnieść się nieważył. W 18tym roku życia, zapewne tradycyjną sławą swój rodziny zachęcony, wybrał sobie prawnictwo za powołanie. Lecz i tu nie było mu wygodniej. W spółtowarzyszach jednak, a między nimi byli Thornton, Colman, Loyel i kilku innych znanych później pisarzy, znalazł przyjaciół i opiekunów pierwszych swych poetycznych polotów. Ckliwe godziny za prawniczymi kratkami osładzał pisaniem wesołych wierszy. Kilka prac jego ukazało się w pismach peryodycznych *The Connoisseur* i *St. James's Chronicle*, wydawanych przez jego przyjaciół. Tymczasem ojciec mu umarł. Pozostały majątek nie wystarczał na utrzymanie. Prawnictwo nie przedstawiało żadnych nadziei. Nie miał do tego zawodu najmniejszej ochoty, a nieśmiałość we wszystkim stała mu na przeszkodzie. W 32. roku, za wpływem swego kuzyna Majora Cowper, dostał zyskowne miejsce przy izbie Lordów, lecz samo dotknięcie się z nudnemi a zakłamanemi formułami, sama myśl, że będzie musiał codziennie stawać na sztychu w obec tak poważnego zgromadzenia, wprawiły go w taką posepność, że się targnął na własne życie. Oznaki pomieszania zmysłów, które po

kilkakroć mu powracało, przeraziły jego przyjaciół. Usunięto go od urzędu i oddano do prywatnego domu waryatów, gdzie pieczołowita staranność wkrótce przywróciła mu, jeżeli nie zupełną czerstwość, to przynajmniej spokojność umysłu. O powrocie na urząd niemożna już było myśleć. Majątek był zbyt szczupły. Przychylni przyszli mu w pomoc i do brata, w małym miasteczku Huntingdon, pod Cambridge mieszkającego, odesłali. Tu wszedł on w zażyłość z pastorem Unwin, wprowadził się do jego domu, i odtąd zajął w nim miejsce, jakby członek rodziny. Wypadek ten utwierdził cały dalszy tok jego żywota. Pastor Unwin umarł, lecz związek z jego rodziną stał się tem ściślejszym. Cowper zajął się jego wdową. Pani Unwin jest to ta Mary, której sławione imię przejdzie do potomności wraz z imieniem naszego poety. Jęj poświęcił on wszystkie swe starania, wszystkie myśli, wszystkie natchnienia. Dla niej rzekł się, jeżeli miał jeszcze jaką nadzieję, znaczenia na świecie. Dla niej ukochał domowe zacisze, a w czem go wrodzona bojaźliwość usposobiła, to potwierdziło przywiązanie do nieodstępnej jego towarzyski.

Znał on dobrze swą nieudolność do światowego pozycia. O sobie zdaje się mówić, kiedy powiada:

*Zal mi zbyt skromnych ludzi, co się dręczą sami
Urojoną ohydą, płonnemi wżgardami;
Bez winy im rumienią splanione oblicze
Samorodne obelgi i wstydy zwodnicze;
W tak drażliwą się często nasza czułość zmienia,
Ze niememi nas czyni obawa milczenia.*

Niema jednak wątpliwości, że mimowolnie musiała go w pierwszych chwilach nieraz nawiedzać pokusa do świata. Ztąd smutek tak ciężki, ztąd potrzeba szukania pociechy i podpory w rozmyślaniach religijnych. Lecz to wtajemniczenie się i zadumanie bez przewodnictwa, bez powagi kościoła, zrodziło, jak się zwykle dzieje w suchym i ponurym anglikanizmie, purytański rygorizm i odurzenie. Usamotnienie się w ciągłej obecności z najwyższą istotą, bez żadnego pośrednictwa, bez kapłaństwa, musi

doprowadzić do najdzikszego mistycyzmu, do szalonych urojeń. Za Kromwelskich czasów Fleetwood gorzkimi łzami płakał, że Bóg przed nim swe oblicze zastonił, — Vane radował się i pysznił, że mu Stwórca powierzył w ręce berło Millenium, rządy nad tysięcznym rokiem, a nie było powagi i sakramentów, co by w pierwszym rozpacz ukoiliły, a w drugim upokorzyły dumę zbytęzną. Podobną spadzistością zszedł i Cowper do zupełnego zwątpienia o sobie, do przekonania, że zbawionym być nie może. Zdało mu się, że między nim a niebem stoi mur nieprzebyty. Widział przed sobą nieprzeliczone wschody, a nieśmiał wstąpić na pierwszy ich stopień. To udęczenie powracało mu z rozmaitemi przemianami. Kiedy obcował z naturą, póki szukał otuchy w sielskich roztargnieniach, w poetycznych natchnieniach, miał i umysł rzeświejszy. Lecz ile razy się zamykał, ile razy wpadał w urojenia, w posępność religijną, tyle razy następowało w końcu obłąkanie i szaleństwo.

Po śmierci pastora Unwin, Cowper przeniósł się z jego wdową do Olney w hrabstwie Buckingham, piękniejszej jeszcze okolicy, a tem powabniejszej dla niego, że je skrapiała ta sama, ulubiona, domowa jego rzeka Ouse. Lecz wkrótce i tu smutek go dognał. Przestał pisywać do swych przyjaciół. Nie chciał widywać nikogo, tylko Panią Unwin i miejscowego pastora Newton. Wprawdzie w zbiorze hymnów Olnejskich, wydanych w owym czasie przez ostatniego, znajduje się kilka prac naszego poety. Lecz nie ma śladu, by co więcej pisał. W 1773. padło znów na niego zupełne pomieszenie zmysłów. Dwa lata czułych starań jego przyjaciół powróciło mu zdrowie i to z taką czerstwością, że uwierzono w zupełne uleczenie. Wziął się on teraz do ogrodnictwa, do chodowania zajęcy, rysował krajobrazy i pisał wiersze. Na szczęście Anglii, ostatnie było jego głównem zatrudnieniem. Niezadługo też potem okazał się owoc jego pogodnych dumań. Pierwszy oddział jego poezyi wyszedł w 1782. r. — i zawierał ośm poematów pod tytułem: 1. Gawędka — 2. Postęp błędu — 3. Prawda — 4.

Prośba — 5. Nadzieja — 6. Miłosierdzie — 7. Rozmowa — 8. Samotność.

Jak niepowodzenie na świecie zwróciło Cowpera na religią, tak znowu czytanie pisma ś. wprowadziło go na ten rodzaj poważnej i uroczystej poezji, która nigdzie tak surowo i sumiennie nie występuje, jak w powyższych poematach. Treść ich same tytuły pokazują. Głównym jego celem było wystawić prawdę, piękność i pociechy religijne. Jestto przedmiot stósowniejszy dla kaznodziei, jak dla poety, ale Cowper potrafił go przybrać w tak powabny język, tak go urozmaicić, rozsiać tyle wzniosłych nauk, głębokiej satyry i czarujących obrazów nadobności moralnej, że wedle wyrażenia jednego z krytyków, to, cośmy sobie wystawiali skalistą i ciężką drogą, jest tak bogatym i kwiecistym, jak łąka przed pokosem. Przytaczając następujący wyjątek zaraz z pierwszego poematu pod tytułem Gawędka (Table Talk), wypada nam zastrzedz, że jak w tym tak i w różnych później razach nie będziemy w wyborze do przekładu mieli względu na to, co jest najpokaźniejszym lub najstojniejszym w dziełach rozbieranych, lub co byłoby najprzydatniejszym do naszego smaku, a przeto najponętniejszym dla tłumacza, ale na te ustępy, które najlepiej przedstawiają osobistość, sumiennosc i rzetelną myśl pisarzy. W wyjątku tym poeta opisuje naród, który przez zepsucie chyli się do upadku. Nie szczędzi takowemu opatrność naprzód postronnych przestróg, jak pożary, wylewy rzek, nieurodzaj i zarazy. Wkrótce następują sroższe jeszcze nawidzenia.

*Bóg dał hasło. Już rycząc rokosz się najeża
W bramach państwa i wstrząsa odległe wybrzeża;
Wszystkich ludów sztandary już na kraj powstały,
Jednego ma on wroga, lecz tym świat jest cały,
A jeśli Pan swe groźne nieodwróci oczy,
I na nim piętno gniewu coraz głębiej tłoczy,
Upór wkrótce nadchodzi. Obojętny, twardy —
Lud wyklęty łepieje na sąd i na wzgardy;
Ziemia pod nim się trzęsie, niebo grzmi do koła,
Lecz z toru, co ukochał, nic go zbicie niezdola.
Przy biśladniej piszczałce i przy płochój pieśni*

*Igra myśląc, że trwoję zaczaruje, prześni,
Bieży na dół niedbaly w szalonym rozpędzie
W przepaść, z której powrotu niema i niebędzie.
Kładzie ufność w swych flotach — ale cóż po flocie?
Przekleństwo Boga zdola zedrzeć żagli krocie;
Kładzie ufność w swych wojskach, z wojsk pierzchnie
odwaga, —
W mądrość, w skarby, w traf, w kłamstwa wierzyć
się nie wzdraga;
Ale wszystko, w co ufa, stoi na zawadzie,
Gdy ten każe, w kim żadnej ufności niekładzie.
Zemsta w końcu wylewa na wybrzeżów progi
Długo przedtem wzgardzane, dziś zwyciężkie wrogi,
Obcy tyran szle łańcuch i skraca swobody,
Co wprzód z chwałą chodziły w przestronne zawody,
Wolności śmierć zadaje, na kark niewolnika
Obróż sromu zaciska i kłódkę zamyka.*

Tym to tonem uroczystym a pełnym prostoty, poeta rzecz swoją wiedzie przez te ośm poematów, to jest przez blisko 6000 wierszy w tym pierwszym tomie zawartych. Niemogło to przypaść do smaku tak ekliwemu i napuszonemu wiekowi. Czas bowiem kiedy Johnson umierał, nim Burns zaczął śpiewać, a zanim Cowpera poezye zyskały wzięcie powszechne, był najniepoetyczniejszym ze wszystkich, bo wszyscy pisali, kuli wiersze na wyścigi. Co Lady Montagu o swęj epoce powiedziała, to do obecnej jeszcze słuszniej zastosować można, to jest, że pisanie wierszy stało się tak pospolitem, jak zażywanie tabaki. Poezya została rzemiosłem. Mnożyły się jęj rękodzielnie. Nieprzeliczona rzesza rymowników, niemogąca się na chwilę, ani w twórczej sile, ani w użyteczności, porównać ze spółczesnemi wynalazcami machin, Arkwrightami i Cartwrightami, pozazdrościła ich sławie i swe jałowe wątki na coraz sztuczniejsze nawijała cewki. Lady Miller wystawiła w swęj bawialni urnę, w której każdy z odwiedzających musiał złożyć swój poetyczny haracz, a niebrakło na tuzinkowych współubiegaczach, na wyścigi napelniających ją codzień wyrobami godnemi takiego przybytku i takiej opiekuńki. Wszystko poświęcano dla wycędzonego dźwięku

i dla kunsztowanych rymów. Wyrobniczy ci, jak sam mówi Cowper

*Wierząc i ważąc myśl na dźwięku szali,
By wiersz zokrąglić, prawdę obcinali.*

Niedziw więc że z razu dzieło Cowpera nie zrobiło wrażenia. Ton jego dla jednych był za ostry, za zbyt wyniosły dla drugich. A kiedy poczęto mówić o nowym zjawisku, to nie ze względu poetycznej, ale moralnej i religijnej jego wartości. Dziwiono się, nie kto to był tak znakomitym pisarzem, ale kto był ten śmieciek, co z taką szczerością ważył się błędy swemu narodowi wytykać. Nie literaci więc, ale moralisci, pierwsi w obieg imie nowego wieszczą puścili.

Tymczasem używał on rzadkiej swobody w swym domowym zaciszu. Niema więcj pocieszającej karty w życiu poetów, jak to jego wyjście z pod czarnej chmury zwątpienia na biały dzień umysłowej rzeźwości, na słońce duchowego pokoju. Począł znowu pisywać do swych przyjaciół, pełny nadziei i wesela, a listy jego tak są wyborne i osnową i stylem, że Southey niewaha się go postawić na czele tego najskromniejszego, lubo może najtrudniejszego prozy oddziału. Domowe też jego towarzystwo zwiększyło się ważnym nader przybyciem. Lady Austen osiadła w sąsiedztwie. Rozmowna, wesola, dowcipna, bawiła Cowpera i żywiła powieściami jego poetyczny zapal. Z jój to opowiadania napisał on balladę pod tytułem: Śmieszna historia Jana Gilpina. Przedmiot niemal błaży. Idzie bowiem o nieszczęśliwego kramarza londyńskiego, który poniesiony przez konia, odprawia mimowolnie zabawną podróż do Ware i nazad. Ale w toku tyle dowcipu i życia, że rzadko który Anglik nieumie jój na pamięć. Wiersz ten wyszedł w 1783 w piśmie perjodycznem zwanem *Repository*. Napomknieniu też i proście Lady Austen winniśmy najcenniejsze dzieło Cowpera, któremu dał tytuł *Zadanie* — *The Task*, — a z czego tak się w przedmowie tłómaczy: „Jedna dama, wielbicielka nierymowego wiersza za-

żądała poematu takowym napisanego, i dała autorowi Sofę za przedmiot. Usłuchał jój, a mając wiele wolnego czasu, inny jeszcze przedmiot do tego przyłączył, i tym sposobem idąc za prądem myśli, na który położenie i stan duszy coraz dalej go prowadziły, wydał on w końcu, miasto fraszki zrazu zakreślonej, dzieło nie zartem, bo gruby tom jeden.“ Dzieło to wyszło właśnie wtedy, gdy Johnson umierał, to jest przy końcu 1784. roku. Przyjętem zostało rześnemi oklaskami, bo już imie poety znanem było powszechnie. Wartość jego poetyczna dla każdego, nawet dla cudzoziemca, jest oczywistą, lecz ten tylko w zupełności ocenić ją zdoła, kto pokocha sielską nadobność Anglii i domowe życie jój mieszkańców. Znajdzie on tam obojga obraz najwierniejszy. Wielkiej części tego poematu możnaby dać tytuł: *podróż w koło mego pokoju*, bo zamknięty jest w dumaniach i pociechach między czterema ścianami. Ta szara godzina, to ognisko, które rzuca po pułapie cienie niewyraźne, ten syczący kociołek z wodą, rzecznik gościnności i wygod domowych, to wpatrywanie się w rozżarzone węgle, malujące fantastyczne obrazy domów, wieżyc, drzew, kościołów, — to szczekanie psów, ta trąbka pocztarska, ta zawierucha bijąca w okienice i przeciwieństwem zwiększająca urok błogości pod strzechą, a później to wesole zebranie przy herbacie lub wieszery, zgoła wszystko, co w duszy Anglika wywołuje ten jeden czarujący wyraz *home*, przesuwają się pod piórem poety w najmiłszych i najdobitniejszych rysach. A jeżeli tkliwym, rodzicielskim, patryarchalnym jest przy swem ognisku, to znów mistrzem w opisach sielskich obrazów i roskoszy. Maluje kolorytem Gainsborougha, a w dokładności szczegółów zdaje się trzymać pędzel Landseera i Wilsona. Niebrak też wzniosłych nauk, poetycznego kazończości, którem był tyle w pierwszych swych płodach zasłynął. Ile razy wchodzi na tę wysokość, zaraz inny ton przybiera, zda się, że rzuca wiejską fujarkę, a przy organach zasiada. Broni ubogich i opuszczonych w obec bogaczy, napomina senat i monarchę, wykląda

powinności duchowieństwa, wytyka mieszkańcom miast ich choroby i rozpusty, a w oddaleniu swobodę i szczęście mierności wiejskiej wystawia. „W *Zadaniu*, mówi Southey, Cowper jest razem dydaktykiem, moralistą i satyrykiem. Najlepsze poemata dydaktyczne, z tym porównane, wydają się jako regularne sztuczne ogrody przy bogatej leśnej okolicy.“ Poniższe przytoczenie niech znowu posłuży nie za przykład świetności i twórczości talentu Cowpera, ale za sumienne przejęcie się powinnością poety.

Wolność Anglii.

*My kochamy króla,
Co prawo kocha, szanuje granice,
I rad w nich rządzi; wolno i z rozkoszą
Służymy gdy wszystkich wolnymi zostawia,
Lecz pomnę zawsze, że on jest człowiekiem,
Zbyt nieufamy. Choć jest królem, — królem
W Anglii do tego, lecz słabym być może,
I próżnym tyle, by godzić w co więcej,
Przyznane władze może źle sprawować,
Lub pragnąc więcej, niż wolni dać zechcą, —
A za tym kresem — zdrada. On jest naszym,
By stanem rządził, by go strzegł i zdobył
A nie zaś krzywił i zmieniał. My jego —
By w wspólnej sprawie służyć mu zaszczytnie,
Wierni do śmierci, lecz nie niewolnicy.
Zważcie różnicę, wy co się chelpicie
Miłością królów, waszej czei od naszej;
Nam człowiek drogi, wam próżna wystawa,
Nam orędownik Rzeczypospolitej,
Wam zaś niedbaly sprawca jej niedoli;
My dla wolności i króla kochamy,
Wy srom i więzy jedno dla tyrana.
W nas miłość z zasad krzewi się w rozumie,
A jest przezorną, mąką, dobrowolną;
W was — ślepy instynkt — czołga się pod kijem
I liże stopę, co ją w pyłe gniecie.
Gdyby w koronie był skarb istny, szczerzy,
Jak się wydaje, godny mędrca rządzi,
Jeszczebym niechciał być królem kochanym
Bez zasług, w płochę barwionym pochwały,
Gdzie miłość tylko wiąże się do tronu,
Nie do człowieka, co zacie w nim siedzi.*

Wolność jedynie daje znikomego
Życia kwiatowi woń i krasę. Bez niej
My zielskiem tylko. Złem jest przymus wszelki,
(Krom tego, który mądrość na złych kładzie)
Bo władze duszy kaleczy, wstrzymuje
Postęp na drodze nauki, oślepia
Wzrok wynalazku, a w tych, co go znoszą,
Wyradza duszę plugawą, zwierną
I chudy umysł, niegodny by gościł
W pięknej, szlachetnej człowieka postawie.
Ciebie więc, Anglio — choć godnaś nagany,
Choć tracisz kraje, choć powszechna nędra
Sciska cię w kolo, aż rocznej żywności
Zabrakło w państwie dla żebrzących głodów, —
Przecież cię mienię szczęsną i królową
Między narody, bo widzę, że śwołna.
Rodzinny kątku mój ziemi! Twój klimat
Ostry i pełny mgły, co wszystkie serca
Do smutku skłania, a moje najwięcej,

Lecz żeś jest wolnym, kocham cię; i dla tej
Jednej własności, choć doznalesź zniewag,
Choć biednym jesteś, schronienia pod słońcem
Niechcę innego. Lecz ujarzmionemu
Bądź zdrów na wieki! Bo kajdan cierpliwie
Nigdziebym niezniósł, — lecz w domu, gdzie wolny
Z praw rodowitych, niecierpiałbym za nic! —

Szczupły zbyt zakres niepozwała nam przepisać następnej, równie pięknej karty, gdzie poeta dowodzi, jak cnót publicznych podstawą są naprzód cnoty domowe, że nie może ten kochać całości, kto szczegółów nieuko-cha, nie może być przyjacielem narodu, kto niedba o pojedynczych, a zły mąż, zły syn, lub zły brat niestanie się nigdy dobrym obywatelem. Dość się jednak przytoczyło, by dać poznać i kierunek myśli i sposób Cowpera.

Zaledwie skończył *Zadanie*, a wziął się do jeszcze trudniejszej, jeśli nie znakomitszej pracy, to jest do przekładu Homera. Założywszy sobie, że codziennie przetłómaczy wierszy trzydzieści, w lat trzy przesnuł na ojczysty język 40,000 wierszy. Dotąd są podzielone w Anglii zdania o wartości tego przekładu, zwłaszcza w porówna-

niu z tłumaczeniem Popego. Ci, co nade wszystko uważają, aby wiersz był brzmiący, wysoko nastrojony, oglądzony do blasku, oddają pierwszeństwo Popemu. Lecz tym, którym naprzód chodzi o prostotę, o myśl, o wtajemniczenie się w sposób autora, zawsze Cowper wydawał się i wydawać będzie daleko palmy godniejszym. Przekład ten Iliady i Odyseji wyszedł w 1794. r. Na tem też kończy się autorski Cowpera zawód, a poczyną się ostateczna i najsmutniejsza życia epoka. Obląkanie wracało silniej niż kiedykolwiek. Pani Unwin została tknięta paralizem, a pielęgnowanie jój padło na duszę, która nawet w pomieszczeniu zmysłów знаła, co wdzięczność. Umarła ona w 1796 w Norfolk, dokąd byli się przenieśli. Długo nie chciał wierzyć jój śmierci, długo niemógł się oderwać od jój ciała. Miał jeszcze później kilka ale bardzo krótkich chwil pogody. W jednej z nich napisał swój wiersz pod tytułem *Wyrzutek*. Przyszła śmierć narzeczone, by położyć koniec jego cielesnym, a jeszcze cięższym moralnym cierpieniom. Umarł 25. Kwietnia 1800. roku.

Jak w przygodach życia Cowper przypomina Trembeckiego, tak w przeszkodach, w walce i ostatecznym tryumfie poetycznego zawodu przywodzi na pamięć koleje, przez jakie u nas w niedawnych czasach przajść musiała szkoła samoistnie narodowa, romantyczną nazwena. Nie mniejszą też sprawił on odmianę. Lecz co u nas przez nadzwyczajny zbieg okoliczności i talentów, to w Anglii jedynie przez prostotę i sumiennosc samotnego wieszca dokonaniem zostało. Tak jednak potężnym był urok tych przedmiotów, że na ich zaklęcie, na hasło poety, który odważył się śpiewać o igłach i drutach Pani Unwin, opisywać, jak na motki związał jój jedwabie, bez powrotu uciekła uróżowana Chloe i zmyślony Korydon, umknęła i peruka Lovelassa i robron Klaryssy. Daleko więksi później przyszli poeci. Krytyka, osobliwie powierzchowna, wiele znajdzie w Cowperze do przygany. Wiersz jego niezawsze ścisły i poprawny. Jędrny, póki w więzach rymu, bez niego, często, jak w *Zadaniu*, na mialkie

rozlewa się płaszczyzny. Lecz zawsze jasny, niewymuszony, szczery w myśli i w toku, że użyjemy słów jego własnych:

Jak dumny łabędź prąd siłą zdobywa.

Nadewszystko jego zaletą, że jest całkim, pojedynkiem, zawsze tym samym, zgodnym z sobą samym. Wszystko sam sobie winien. Jeden strumień uczucia i przekonania płynie przez wszystkie jego dzieła. Są tacy, którzy go porównują z Churchillem i twierdzą, że wiele winien ostatniemu, bo jego siłę i rubaszną męskość wziął sobie za wzór z początku. Lecz Churchill, nieokrzesany, gwałtowny, najeżony osobistościami i gniewliwą przesadą, dbał tylko o wpływ doraźny, o spóczesną wziętość. Cowper tkliwy, rzetelny, zadumany, śpiewał, niepytając, czy go świat słucha i czy będzie słuchać. I oba zyskali, w co godzili. O pierwszym dziś już mało kto pomni, drugi z ubiegim czasem w coraz obszerniejszy i świetniejszy otok sławy wstępuje.

Wilhelm Hagley (1745—1820.)

Zastępuje na wspomnienie więcój ze względu, że był opiekunem, doradcą i biografem Cowpera, jak z ważności prac literackich. Pisał wiele, i miał powszechną wziętość u spóczesnych. Wiersz jego kształtny, gładki, ale często bez myśli, bez natchnienia, dziś mało komu znany. *The Triumph of Temper* jest jego najcenniejszym poematem. Oprócz tego pisał wierszem o historii, o malarstwie, o poezyi, a nawet o starych pannach. Tragedye jego niezyskały poklasku. Za to *Żywot Cowpera*, który wydał w 1803. był i jest z ciekawością czytany. Był on w związkach ze wszystkimi znakomitszymi ludźmi swego czasu. Gibbon mu podchlebiał. Pitt na jego prośbę dał szczerą pensją Cowperowi. Odwdzieczył się też swoim przyjaciółom, bo nie było jednego, a miał ich tylu w ciągu tak długiego życia, któremuby nagrobka nie napisał. Dziś na tym poetycznym smętarzu zatarty się niemal wszystkie napisy. Zostały tylko dwa, często troskliwą pamięcią potomnych odnawiane, a temi są:

*Wy, którym radość w sercu, gdy cnotą okryły
Mistrz słowa zbiera w kolo powszechnie zaszczyły,
Tu wielbiąc wieszczą ciche poświęceń mozoly,
Uczcijcie tklivym holdem Cowpera popioły.
Anglia, w tak nieskazonęj radując się czesci,
Jego kochane imie śród najdroższych mieści.
Lecz rozum, dowcip, twórczość wzniesęby niezdolaly
Tak jasnych praw do uczuć i wszechnęj pochwały,
Sercu to cześć najwyższą oddali społeczeńi,
Bo z jego cnot się rodzi urok jego pieśni.*

*Pełnem sercem i duszą ufna w Bogu cała
Ta niewiasta przykładem dobroci została,
Zniosła ciężkie trosk burze, swą pieczęj jedynie
Wiodąc tęsknego wieszczą po smutku dolinie.
Chronie tych czystych prochów, wy stróże anioły!
Cowpera przyjaciółki, Maryi tu popioły,
Ten skromny tytuł sławą staje się rodzinie,
Bo kto wiersz jego czyta, ten wielbi jej imie.*

Erazm Darwin (1731—1802).

Wychowany na lekarza, osiadł w Lichfield, gdzie nauką i zabiegłością wysokie zyskał względy. Miłośnik natury, a osobliwie bogactw jej roślinnych, założył dla siebie botaniczny ogród, poświęcając jego uprawie cały zarobek i czas od zatrudnień swego powołania zbywający. Pojawszy powtórnie ślubę żonę z dostatnim posagiem, oddał się swobodnie swęj ulubionęj pracy, a ta jeszcze wyższy otworzyła mu zawód. W 1781. wydał pierwszą część poematu pod nazwą: *Ogród botaniczny*. Opisać, ubarwić poetycznemi obrazami i wystawić pod allegoryą cały systemat Lineusza — oto zadanie, które sobie założył i które pracowicie odrobił wierszem pełnym ogłady i blasku, ale napuszonym i trętwym samą ciężkością przedmiotu. Dla dodania mu życia wezwał w pomoc całą rzeszę gnomów, nimf, sylfów, salamander, w czym mu dostarczyła nieprzebranych skarbów modna filozofia Rozykrucyanów. Nowość pomysłu, mnogość obrazów, wiersz nadzwyczaj wypracowany, zdobyły mu odrazu więtość, którą w tym czasie jeden tylko Cowper zdolnym był zaćmić. W 1789. ukazała się druga część tego po-

ematu pod tytułem: *Miłości Roślin*. „Jeśli Owidiusz — pisze sam autor — przeobraził ludzi, męża i niewiasty, a nawet bogi i boginie, w drzewa i kwiaty, to się godzi podobną sztuką ożywić je znowu i wywołać z zaklęcia, w którym tak długo zostawały niechętnymi jeńcami.“ Część ta druga, przy bardziej ożywczym wątku, przy dojrzałym doświadczeniu poety, daleko jest wyższą od pierwszój. Są ustępy wysokiej nadobności, opisy mistrzowską kreślone ręką — często wzniosłej moralności i głębokiego uczucia — jak np.

*Filantropio! Dziś boski twój promień pomyka
W okrąg świata od Zemli, aż po kres Równika,
Nad każdym z ciemnych więzień otok światła tworzy
Jak nad sklepieniem nocy blask północnej zorzy.
Z kraju w kraj, — czy pół-księżyc, czy krzyż ma na czole,
Gdziekolwiek tylko znaleźć ludzkość i niedolę,
Przez skwar piasków, mórz głębie, czy gdzie w śniegach
ścieżka,*

*Twój Howard dąży szukać, kędy nędza mieszka.
Na dół krętymi schody wśród wilgotne ściany
Więzień, gdzie rozpacz wyje, gdzie brzęczą kajdany; —
Do pieczar posypanych gnijącemi kości,
Lochów, gdzie echa uczy jedno jęk żałości,
Gdzie przyjaźni nie wpuści żadna czuła krata,
Ni słońce kiedy zajrzy, ni zefir dolata, —
On biegnie, praw nieroszcząc do bogactw i chwały,
Szczodry swemi mozolą, o zdrowie niedbały; —
Tkliwą wymową miękczy twarde na nieszczęście
Serce Władzy, rozwiera ściśnięte jej pięście; —
W podziom — sprawiedliwości wieździe wzrok surowy,
Aby jeśli nie rozkuć, to zwolnić okowy;
A gdy mrok przed wzruszoną litością rozpostrze,
Wskazuje ku więzieniu, jak ku grobu siostrze!*

Niech czytelnik przez wzgląd na wierność z oryginałem daruje w niniejszym przekładzie naprzód nazwanie więzienia siostrą, a nie bratem grobu (lubo i w angielskim *prison* jest nijakiego rodzaju), i powtórę rym ostatni, który nie z umysłu tłumaczowi się nawinął; a niech to drugie przebaczy przez pamięć na Darwina, bo onby pewnie pierwszy poklasnął takiemu rymowi. Jakoż wykwintność i trudność wiązanych końcówek były jednym

z głównych celów, za którymi on się ugaśniał. Ktoś też przyrównał jego wiersze do rzędu lancetów, z których każdy skrętnie opitowany i wypolerowany kończy się coraz dziwniejszem a zawsze subtelnem ostrzem. „Szatan rymów,” że użyjemy wyrażenia Morawskiego — zdał się kusić go bez przestanku. Jeden z ostatnich krytyków nazywa poemat Darwina, ulanym z metalu, pandemonium rymów, fabryką szpilek. Jest w tem wiele przesady, ale jest razem użyteczna przestroga dla trefniśiów w poezyi. Drugą wadą Darwina jest wyszukiwanie co najwykwintniejszych epitetów i ciągle sadzenie się na przymiotniki. Gwiazdy są zawsze u niego *kwiatami nieba* a znowu święto-jańskie robaczki są *gwiazdami ziemi i dyamentami nocy*. Trzecią jego ułomnością, pochodzącą z samej natury przedmiotu, jest drobiazgowość w opisach. Rzecz jasna, że kto nie człowieka i jego uczucia ma na pierwszym względzie, lecz zwierzęta, rośliny, minerały, odkrycia mechaniczne, prawa fizyki i chemii, — a w określaniu takowych najwięcej on się kochał, — ten musi się starać, aby zastąpić szczegółowością i dokładnością brak wyższych darów i przynajmniej oświecić rozum, gdy serca rozgrzać nie może. Lecz w każdej literaturze znaleźć można świetny przykład — od Wirgiliusza do Delila — że i w tem jest miara. U Darwina zaś każdy listek, ziarnko, korzonek jest najskrupulatniej ze wszystkich stron określony. Nie jest dokładniejszym Jezuita, co napisał wierszem matematykę i jeografię. Czytelnik, jakkolwiek przygotowany na rymowany wykład botaniki, co karta ma ochotę zawołać z owym sędzią w Pieniaczach: przynajmniej pocznij od potopu, a daruj nam, co już tam przedtem było. Jednem słowem dydaktycy rzadko pamiętają, a z nich Darwin najmniej baczył na to mądre francuzkie przysłowie, że

Le secret d'ennuyer c'est celui de tout dire.

A jednak, pomimo wad tych wszystkich, znakomitym on jest pisarzem, — jeśli nie poetą, to ma przecież wiele przymiotów poety i nie znajdzie się krytyk, coby śmiał

mu powiedzieć: lepiej byłbyś zrobił, gdybyś to samo prozą był napisał. Uwięziwszy swój talent w przedmiot niesposobny do wyższych polotów, nie wznosi się on nad to, co pod zmysły podpada, nad materią, a przecież patrzy na to okiem poetycznym; ubarwia, uszlachetnia duchowem pojęciem; gdy mu przedmiot niedostarcza wątku do poezyi, to on przynajmniej poetyczną z niego estetyczność wydobywa; zagłębia się w tajemnice materji, wnika w to, co filozofowie *psyche* nazywają i odgaduje przyszłe jej losy. Na objaśnienie ostatniego dość powiedzieć, że tą jasnowiedzą wyprorokował wielkie przeznaczenia pary w zastosowaniu do dróg na morzu, na lądzie i w powietrzu.

W 1792. Darwin dodał trzecią część do swego poematu. Jeżeli nie zbywało mu na wielbicielach, to i na srogich krytykach niebrakło. Jeżeli Cowper przyznał mu, że jego poezya była „równie męzką jak uczoną i słodką,” to za to *Miłości roślin* wyśmiano uszczypliwą satyrą pod tytułem: *Miłości trójkątów*. Czy ze zniechęcenia do poezyi, czy z przywiązania do swój ulubionej nauki rzucił się on do prozy pod koniec życia i napisał naprzód *Zoonomią*, powtóre *Phytologią* czyli filozofią rolnictwa i ogrodnictwa. Pierwszem obruszył na siebie Paleya, Dugalda, Stewarta, Browna, którzy osobliwie powstali przeciw jego teoryi przypisującej pochodzenie instynktu z sensacyi. Pisał także o wychowaniu kobiet, a po śmierci znaleziono w jego papierach przygotowany do druku poemat — tak to nałóg wierszowania jest ciężkim do zbycia, — pod tytułem: Świątynia natury.

„Jest sposób i rodzaj w poezyi — mówi Walter Scott — które niepowiększając ani zmniejszając rzeczywistej wartości materyałów, co jej służą za wątek, dziwnie ułatwiają jej obieg, dopóki są nowością, ale za to utrudniają jej wziętość, skoro moda przeminie.“ Taki też los spotkał dzieła Darwina. To, co stanowiło ponętę dla społeczeństwa, to dla nas jest odrazą. Anglicy z końca 18go wieku radowali się, iż w Darwinie znaleźli świętyny przykład, że nauka z poezyą może w jednej chodzić

parze, — dzisiejsi wystawiają go na niezachwiałe potwierdzenie, iż to są dwie przeciwne, nienawistne sobie potęgi. Któż w głównej zasadzie ostatnim prawdy nie przyzna? „Nauka — pisze jeden z krytyków tegoczesnych — ciągle wkracza i kusi się o zabory w dziedzinie poezyi, ale ta na szczęście tak jest rozległą, że nigdy rzeczywistój niedoznaje straty. Ile razy jaki przedmiot dostał się w zdobycz umiejętności, tyle razy zgasło jego poetyczne znamie, i przestał obudzać natchnienie i uczucie. Co było czią lub postrachem, religią lub przesądem, staje się w nauce spokojną, nieczułą, suchą świadomością. Imaginacya zstępuje z tronu, jój twórcza władza upada, gaśnie jój przeobrażający płomień. Nawet podziwienie, najniższy stopień imaginacyi, ustaje, skoro świadomość naukowa się wypełni, bo w istocie, żadna rzecz, gdy rozebrana i zgłębiona umiejętnością, nie jest ani dziwniejszą, ani w ostatecznym rozbiórce majestatyczniejszą od drugiej. Obłoki na jasnym niebie stają się tak pospolitym wypadkiem, jak kurzawa na drodze, lub dym z kuchennego komina. Celem nauki jest wszystko ograniczać i równać, celem poezyi rozszerzać i podnosić.“

Karolina Smith, Suzanna Blamire, Letycia Barbauld, Panie Hunter, Opie, Grant, Tighe, Anna Seward, Lady Miller, szkoła Della Crusca.

Wszystkie powyższe imiona można bez ujmy żadnemu, w jednym postawić rzędzie, a ich dzieła w jeden związać snopek.

Karolina Smith, wczesnych i nadzwyczajnych zdolności osoba, pisała wiele i w prozie i w poezyi. Romanse jej *Emelina, Etelinda, Celestyna* były w swym czasie czytane przez wszystkich. Powieścią *Desmond*, w której żarliwie podjęła wyobrażenia i nadzieje zbudzone rewolucją francuzką, oburzyła na siebie najszczerzych swych przyjaciół. Wkrótce jednak udało jój się odzyskać dawną przychylność publiczności romansem pod tytułem:

Stary zamek. Wierszem pisała sonety i poemata, a z tych najgłówniejszy *Beachy Head*. Zbyt wczesne małżeństwo stało się przyczyną smutków bez końca. Z mężem osadzonym w więzieniu za długi wszystkie przykre dzieliła koleje. Nierozmysłny, nieczuły, znać nie umiał jęć cenić, bo w końcu przymuszoną została oddzielić się od niego i w samotności poświęcić się wychowaniu drobnych dzieci. Ztąd ujmująca rzewność w jęć poezjach, która główną stanowi ich zaletę. Cowper zaznajomiwszy się z nią u Hagleya, lubił słuchać, jak czytała mu swe prace. Walter Scott nazywa jęć muzę „słodką i smutną zarazem.“

Suzanna Blamire pisała szkockim dyalektem poemata: *Nabob, Siller Crown*, a północno-angielskim: *Wieś Cumberlandzka*. Anglicy znajdują w jęć poezjach wiele kobiecego wdzięku i prostoty. Letycya Barbauld miała, dość powiedzieć, Foxa w orszaku swych wielbieli. Pierwszy tom jęć poematów miał w jednym roku cztery wydania. Ody i hymny — a zwłaszcza *Oda do Wiosny i Hymn do Szczęścia* — stanowią główne jęć prawo do pamięci potomnych. Za przykład, jak najpokorniejszy przedmiot niewyłącza się od poezji, byle z prostotą pojęty i osnowany, może posłużyć jęć wiersz: *dzień domowego prania*. Niewzgardzała i prozą. Niemal wszystkie peryodyczne pisma owego czasu — a kochała się równie w polityce jak w literaturze i silnie popierała zasady wigowskie — bogaciły się pracami jęć pióra.

Pani Hunter, żona sławnego szkockiego lekarza, słynęła ze zgrabnych i potocznych piosenek. Haydn swą muzyką kilka z nich unieśmiertelnił.

Amelia Opie, znana dobrze i u nas z swych moralnych powiastek, pisała równie tklive wiersze, z których jeden pod tytułem: *Sierota*, dotąd jest często powtarzany.

Pani Grant, w swych *Listach z Gór*, w swym poemacie *Highlander*, tak obudziła powszechną ciekawość dla podań górali szkockich, jak Pani Tighe dla poetycznych tradycyi w Irlandyi. Pierwszą też nazwać można poprzedniczką Scotta, drugą Moora. Najobszerniej-

szem dziełem ostatniej jest poemat *Psyche*. Więcej jednak wartości mają jej ulotne pieśni. O niej Moore śpiewa w znaniej melodyi; która się poczyna od słów:

I saw thy form in gouthful prime.

Anna Seward, nie bez pewnego talentu, ale pełna zarozumiałości, winna była swą sławę grozie i postrachowi, które wywierała na współczesnych pisarzach. Ciekawa, natrętna, chciwa popularności, starała się wszystkich zagarnąć pod swe panowanie. Niedawała pokoju Darwinowi, póki swego poematu nie wydał, a skoro go drukiem ogłosił, wystósowała przeciw niemu oskarzenie, że sobie jej myśl przywłaszczył, i że kilkadziesiąt wierszy z początku nie jego, ale jej były. Pomyślniej poszło jej z Walter Scottem. Zostawiwszy mu testamentem swe wiersze, zmusiła go do ich wydania i napisania jej biografii. Najcelniejsze między niemi są elegije na klęski narodowe, zgony wielkich ludzi, jak np. na śmierć kapitana Cook, Majora André i t. d. Cowper wzbil ją w dumę, mówiąc, że wynalazła nowy rodzaj poezyi, to jest epiczną elegiją. Raz puszczone pióro już się zatrzymać niemogło. Same jej wiersze składają trzy grube tomy, a wyjątki z korespondencyi sześć osobnych. W 1804. na pięć lat przed śmiercią wydała życie Darwina, w którym, między wielu ciekawemi szczegółami, znajduje się owe oskarzenie o rabunek przeciw bohaterowi jej wspomnień. W ogólności Anna Seward reprezentuje w końcu 18. wieku ową ckliwą, pieszczotliwą szkołę, przeciw której w swych czasach i Chaucer i Shakspeare powstawali, z której drwił Pope, choć sam muskał swe wiersze, a którą Lilly całym swym talentem uchować niezdolał od powszechnego zapomnienia.

Jak Anna Seward stała się najpokaźniejszą reprezentantką wznowianego euphuizmu, tak Lady Miller była mu szczerą opiekunką i ochmistrzynią. Ona to wystawiła w swym salonie ową sławną urnę, przed którą modne literaty palily swe ofiarnicze ognie. Wkrótce one zagasły, ale z popiołów wyleciał Fenix, co na chwilę

zaćmił wszystkie oczy. W 1785. Anglicy i Angielki przebywający we Florencyi utworzyli literackie koło, a zrobiwszy składkę z swych prac poetycznych, wydali je pod tytułem *Mieszaniny Florenckie*. Najruchawszy z nich Robert Merry, który pisywał pod imieniem Della Crusca, dał nazwisko modnej téj szkole. Niebawem przeniosła się cała rzesza do Londynu i poczęła swe nieprzeliczone płody drukować po dziennikach, po tygodnikach, i w osobnych wydawać tomach. Porozdawali sobie dostojęstwa. Książę literatury chwalił hrabiego poezyi. Hetman romansu zginał kolano przed senatorem krasomowstwa. „Nie było dnia, — mówi Gifford, — któryby się obszedł bez miłośnego między nimi listu, nabitego błyskawicą i piorunem, et quicquid habent telorum armamentaria coeli. Gorączka przeszła w szaleństwo. Laura Maria, Carlos, Orlando, Adelaida i tysiące innych bezimiennych imion tkniętymi zostały gwałtowną zarazą, i od jednego końca Anglii do drugiego nic nie było, jedno głupstwo i Della Crusca.“ Bóg wie jak długo byłoby to trwało, gdyby nie pisarz, którego przytoczone tu wyrazy. Podjął on pióro i dwiema dzielnemi satyrami — z tych jedna *Bariad* wyszła w 1704., a druga *Maeviad* w 1796., — zadał śmiertelny cios téj pasożytnej szkole, druzgocąc, jak mówiono, rój błyskotliwych motylów pod ciężkiem kołem nielitościwej krytyki.

Wilhelm Gifford, Jerzy Canning, Jan Wolcot.

Lubo Gifford urodzony w 1756. żył do 1826., i aż do końca sprawował groźne rządy patryarchy krytyków, tu jednak, zaraz z początku, wspomnieć o nim należy, bo do tego daje mu prawo powyższe świetne zwycięztwo nad filistynami téj epoki. Ojciec jego był ubogim szklarzem. Oboje rodzice odumarli go w niemowlęctwie. Sierotę oddano na majtka do jakiegoś mizernego statku, później na naukę do szewca. Przypadkiem wpadła mu w rękę książka o Algebrze, zasmakował w niej, a niemając papieru i pióra (bo to, jak mówi, równie mu wtedy było niedostępnem jak berło lub korona), począł szy-

dłem na wygładzonej skórze najzawilsze rozwiązywać zadania. Przy szydle też i na trójnożnym stołku nauczył się pierwsze składać rymy. Jak się zwykle dzieje, szczęśliwym trafem ktoś je znalazł, podał drugiemu, zjawił się bogaty patron i ukryty poeta wyszedł na jaw przed zadziwionym narodem. Tym mecenasem dla Gifforda był z początku jakiś lekarz, który go wykupił od szewca, oddał do szkół i wyrobił miejsce na nauczyciela w Eseter, — w końcu Lord Grosvenor, który mu powierzywszy syna na wychowanie, wysłał za granicę. Walka z della Cruscanami otworzyła mu sławy podwoje. Osmielony tą wygraną, uderzał w prawo, w lewo, gdzie tylko zły smak się pojawił, lub panoszyła się próżność literacka. Zaprawione w żółci pióro często miarę sprawiedliwości przechodziło. Zbyt ostra satyra na Wolcota wywołała od ostatniego odpowiedź jeszcze ostrzejszą pod tytułem: *Uciniek szewcowi*. Gdy w 1797. kilku możnych panów założyło tygodnik *Anti-Jacobin* na wymśnianie rewolucyi francuzkiej i powściągnięcie wichrzycieli w domu, Gifford zajął miejsce głównego redaktora. Wszedł tym sposobem do najpierwszych domów, z najcelniejszymi poznał się ludźmi. W 1802. wydał Juvenala, a później Persyusza w jędrnym przekładzie. Ogłaszał też drukiem od czasu do czasu nowe, poprawne i bogato notami ozdobne edycye starszych autorów angielskich, — a z tych najlepsza jest dzieł ulubieńca jego Ben Jonsona. Pisał wiele ulotnych poezyi. Niektóre dziwne smętkiem i stódczą na tak uszczypliwego satyryka. Założywszy wraz z Walter Scottem w 1808. tyle dziś sławny kwartalnik *the Quarterly Review*, usadowił się za bezpiecznym szańcem, z za którego przez lat 45 rzucał śmiertelne pociski, a zranionych ofiar jeszcze dziś wielu dopatrzyć się można.

Jerzy Canning (1770—1827) był najczynniejszym współnikiem Gifforda w redagowaniu *anti-jacobina*. Największa część wierszy w tém piśmie umieszczonych z pod jego wychodziła pióra. Układał parodye wierszy Darwina i Southeya, wyśmiewał sentymentalną niemiecką dra-

mę w farsie *the Rovers*, a polityczne wady i wyskoki owego czasu niemilosiernie wychłostał w satyrze *Nowa moralność*. Dowcip jego jednak był daleko subtelniejszy, a sposób pisania szlachetniejszy jak u Gifforda; i chociaż świetny jego zawód polityczny zagasił literackie prace, z ostatnich widać, iż miał zakrój na potężnego poetę, lecz ciągle i mozolne urzędowanie niedozwalało mu potrzebnej ku temu swobody.

Jan Wolcot (1738—1819) śmiały, nieco rubaszny, ale pełny ognia satyryk, pisał pod imieniem Piotra Pindara, które historycznem zostało. Ciął, rąbał na wszystkie strony, po wszystkich głowach, a po najwyższych co najsilniej. Królowi też Jerzemu III. najwięcej się jego razów dostało. Obdarzony nadzwyczajną łatwością, w przeciągu lat 30. wydał przeszło 60 długich poematów satyrycznych. Żadna śmieszność na świecie, żaden pocieszny wypadek na dworze nieuszedł jego bacznosci. Byłe się zjawiała drobna jaka anegdota o królu, lub królowej, zaraz chwycił ją w przelocie. Raz król znalazłszy na swym talerzu w pośród zielonego grochu pewnego nie zbyt ponętnego robaczka, tak się rozgniewał, iż wydał uroczysty wyrok, aby wszystkim kucharzom i kuchcikom w pałacu pogolono głowy. Była to doskonała gratka dla Wolcota. Nieomieszkał z niej korzystać i wyosnował na niej poemat heroiczno-komiczny *The Lousiad*, niby to powtórzenie tytułu dzieła Camoensa, a w istocie pochodny od wyrazu *louse*. Dzieła Wolcota zebrane zostały w 4. tomy, i przeszły przez mnogie edycyje. Sam się chwalił, że były tłomaczone na sześć obcych języków. Dziś mało kto je czyta, bo taka jest kolej wszelkich pism osnowanych na przemijających przedmiotach. Brak pomiarkowania, rumieńca wstydlivosti i moralnego celu równie jest widocznym w jego odach i satyrach, jak męska dzielność, a w stylu nieograniczona posuwistość. Pisze równie bez przymusu jak bez ceremonii. Niedziw więc, że nienawidził stylu Johnsona, o którym tak powiada:

*Gniewa mnie styl Johnsona napuszony tyle,
Ze celowi nadaje ważność aż na młęg;*

*Całą furę nawozu rozsypuje w rzędy,
By jeden mdły bławatek wyprowadzić z grzędy;
Maczugę Herkulesa porywa, — a na co?
By zdruzgotać komara, albo ćmę ladaco;
Ziemie straszliwych wichrów zawieruchą wstrząsie,
By wznieść do góry słomkę, albo piórko gęsie;
Kola na kolach stawia, puszcza w korowody,
Co za zgielk! by wyciągnąć naparsteczek wody;
Z najgłębszych toni wzrusza sam ocean wielki
Dla wyrzuconej na brzeg drobniutkięj muszelki.
W każdej treści ta sama pompatyczna groza.
Czy straszny piorun niebios, czyli turkot woza.*

Był to czas bogaty w plony, bo każdy pisał, i często i wiele. Ale te obfite plody nader wątpliwiej były wartości; — snopków dostatkim, ale skapo omłotu. Dla satyry przeto nadzwyczaj ponętna i pomyslna odkryła się pora. Nieomieszkanie też z niej korzystać i w literackich i w politycznych celach. Niebyłoby końca, gdyby chcieć wyliczyć imiona tych, którzy w tym zawodzie niepewnym przemijającą zyskali sławę. Dodać jednak wypada do wyżej wspomnianych Jakóba Mathias, którego poemat *Zapasy literackie*, daleko ważniejszy z swoich przypisków jak z wiersza, zręcznie opisuje i wysmiewa *divitias miserrimas* owego czasu. Niedosć było pojedynczych szyderców, pisano często satyry na wspólkę, a z tych *Rolliada* i *Ody na próbę* były czytane i powszechnie chwalone. Zdało się, że z samym schyłkiem 18. wieku zły smak odżył jeszcze na chwilę, jak gdyby się chciał doczekać pogwizdu satyry jako pogrzebowej swęj pieśni.

Robert Bloomfield, Jan Leyden, Henryk White, Jakób Grahame.

Zanim szereg wielkich poetów wystąpi przed nami, oto jeszcze czterech stojących na pograniczu, jeżeli nie nadzwyczajną zdolnością, to przynajmniej serdecznym uczuciem swego powołania.

Robert Bloomfield (1766—1823) urodził się z ubogich bardzo rodziców. Oddany na parobka do jednego

z krewnych, gdy ciężkiej ręcznej pracy nie mógł wydołać, rzucił się do najlichszego rzemiosła, i jak Gifford, został szewcem. Atoli pamiątka sielskich zatrudnień nie dawała mu pokoju, łudziła nadobnymi obrazami, wprawiała w gorączkę, aż nareszcie poczuł w piersiach tętno poetycznego zapału i twórczości. W ubogiej swój komórcie pod strychem, przy szydle i kopycie, zaczął te obrazy układać wierszem, co wkrótce w obszerny poemat urosło. Potulny i bojaźliwy, dał też swemu dziełu tytuł zbyt skromny. Poemat ten *The Farmer's Boy, Parobek*, zasługiwałby na szlachetniejsze nazwisko *Ziemiaństwa Angielskiego*. Pełno ciekawych szczegółów, opisy wierne i zajmujące, całość dobrze pojęta, wiersz gładki, bez przesady, zyskały mu od razu przychylnie przyjęcie. Za wstawieniem się księcia Grafton, biedny poeta dostał urząd, lecz dla słabości zdrowia i dla nieudolności musiał go wkrótce porzucić. Z nabytego majątku założył księgarnię, na której wszystko stracił, potwierdzając smutnem doświadczeniem zwykłe niepowodzenie literatów w przemyśle światowym. Pod koniec życia oddał się dziwnie sposobnemu dla poetyrzemiosłu, robieniu harfeolskich, a tem głód i nędzę odganiał. Oba z Giffordem równocześnie szydło zamienili na pióro, ale, co za smutna nauka, satyryk Gifford wyszedł na magnata, a cichy, kochający Bloomfield żył i umarł w ubóstwie, prawie w zapomnieniu. Oprócz głównego poematu, napisał on jeszcze sielski dramat *Hazlewood Hall*, i zbiór krótszych wierszy pod tytułem: *Dzikie kwiaty i Majówka z Muzami*. Wieśniacza prostota i uczucie zyskały jego dziełom chlubne miejsce na półkach literackich.

Jan Leyden żył tylko lat 36, ale krótki żywot jego jest pełnym pracy i romansowych przygód. Z niskiego, bo z kmieckiego pochodzenia, tak się w swój wiejskiej szkole odznaczył, że go do wyższych powołano, gdzie wkrótce stał się mistrzem nie tylko w europejskich, ale i we wschodnich językach. Umiejętność ta otworzyła mu świetny zawód w Indyach wschodnich. Był na przemiany lekarzem, pastorem, nauczycielem, prawnikiem. Zo-

stał naprzód professorem w Bengalskim uniwersytecie, później sędzią w Kalkucie. Namiętnie oddany językom, sam pisał do przyjaciół, że jeżeli nie przejdzie w znakomitości sławnego orjentalisty Jones, to niech iza zadna po jego śmierci nie popłynie. Niespokojny, a prędkiej chciwy coraz większej doskonałości w ulubionej nauce, poszedł towarzyszyć wyprawie angielskiej do Batawii, gdzie z trudów, bo pierwszy wskoczył w wodę, aby pierwszy stanąć na brzegu, dostał febry i umarł w wilią zwycięstwa, które w 1811. Jawę oddało Anglikom w posiadanie. Dzieł jego trudno się dorachować. Pomagał Lewisowi w sławnym zbiorze *Powieści Cudownych* a Walter Scottowi w sławniejszym jeszcze szyku *Poezyi szkockich z pogranicza*. Ostatni też odwdziczył mu się wielorakiem wspomnieniem w swych dziełach, a osobliwie piękną jedną strofą w *Panu Wysp*. Znakomitsze Leydena poemata są: *Brzeg Keldaru*, *Syrena* i *Sceny młodości*. W ostatnim zdaje się przewidywać swój wczesny i smutny koniec. Daleko zabiegłszy od ojczystych brzegów, od swój domowej doliny Teviotu, pyta, czy to księżyc Kaledoński, czy ta srebrnym promieniem oświecona wiezyca, jest ten starożytny kościół,

*Gdzie me ojce w rodzinnej spoczywały ziemi,
Póki wzburzony Teviot nie uniósł ich kości?
Z nurtów do mnie wołają głosami słabemi:
„Szaleńcze! niepamiętny na dni twój młodości,
Po coś rzucił wieśniaka ciche przeznaczenie,
Po coś rzucił wieśniaka lepiankę ubogą;
Stare groby, gdzie błędzą twoich przodków cienie,
I Teviot, co im śpiewa dawną krocząc drogą?
A my, — gdy śmierć nie wczoraj zwarła nam powieki, —
Jakżeż na twoją prośbę z prochów wstać zdolamy
I kości po za morze przenieść w kraj daleki
Z dotin, co znały nasze żywoty bez plamy?
Stój szaleńcze! Domowe cnoty obudź w sobie,
I cicho, słodko zaśnij w tym ojczystym grobie.“*

Jakkolwiek powyższy ustęp brzmi tkliwie i powabnie w oryginale, trudno się oprzeć posądzeniu, że autor miał na myśli, ale nie z zupełną wydał prostotą, ową znaną odpowiedź Indyan, zachęcanych do przesiedlenia się w da-

lekie strony: Możemyż rzec popiołom naszych przodków — „Wstańcie i pójďtecie za nami?”

Henryk Kirke White (1785—1806) więcej wczesnymi oznakami wysokiego talentu, jak rzeczywistą zasługą, w rząd celniejszych poetów policzonym został. Southey nim się opiekował, Byron pisywał do niego wiersze, a sławny rzeźbiarz Chantrey pomnik mu wystawił. Był on synem rzeźnika, w czem ma styczność z kardynałem Wolsey i poetą Akenside, i co pokazuje, że musiał mieć niepospolitą zdolność, kiedy od razu tak znakomitych zyskał przyjaciół. Żył lat 24. Southey wydał jego dzieła, w których pierwsze miejsce trzymają poemata: *Clifton Grove* i *Christiada*, — Wiersze pełne nabożnego zapału i tkliwej serdeczności.

Jakób Grahame (1765—1811) często jest przyrównywanym do Cowpera z głęboko moralnych uczuć i grozy na wady swego narodu. Szkot z urodzenia, duchowny z powołania, pisał dla Szkocyci, i najwięcej o religii, jak to łatwo poznać z samych tytułów następujących dzieł jego: *Marjia królowa Szkocka*, poemat dramatyczny, *Sabbath*, *Niedzielne przechadzki*, *Biblijne obrazy*, *Ptaki szkockie* i *Szkockie ziemiaństwo*. „Po Burnsie — mówi jeden z jego rodaków — nie ma pisarza, któryby tak mile ojczyznę oddalonemu przypominał szkotowi, jak Grahame.” Żadna pochwała, choćby na najobszerniejszym rozbiórze osnowana, tym kilku słowom niewyrówna.

Robert Burns (1759—1796).

Po dłużej a mozolnej wędrówce przez te drobne okręgi dziedziny literackiej, gdzie co chwila krytyk potrzebuje i swój przywilej okazać i myto na granicy opłacić, gdzie często trudno się doczytać i niezapomnieć, jak herb, kolory, w czem ich odrębność narodowa, gdzie jeszcze częściej niepodobna odgadnąć, jakim trafem zasłużyły one na udzielnosc i imię zapisane w poczet ukoronowanych możnowładztw, — po tak zmuśnionej podróży nic bardziej orzeźwiającego, jak wkroczyć w silne i ob-

szerne państwo jakiego mocarza literatury. Lecz z drugiej strony sama rozległość ostatniego, ilość i wielostronność przedmiotów w niem zawartych, ciężkie stawia przeszkody ku nakreśleniu choćby tylko treściwej całości. Opowiadającemu niepozostaje, jedno albo szczegółowe napisać dzieło, albo, przypuszczając, iż przedmiot jest już dobrze znajomy, ograniczyć się na kilku wydatniejszych rysach i uwagach, jakie mu się nawinęły, lub jakie uznał za potrzebne do wyprowadzenia ogólnych prawd i przestroż. Dla tego to w niniejszym przeglądzie, w którym najwięcej nam chodzi, aby okazać całkowity tok nowszej literatury angielskiej, wystawić jej bogactwo, wyliczyć mniej u nas dotąd znanych pisarzy, niepodobieństwem byłoby miarkować rozmiaru wedle ważności pojedynczych autorów, i kiedy wypada nam każdego z szeregowych po imieniu wołać, to w ocenieniu dowódców i naczelników, znajomych światu całemu, trzeba będzie poprzestać na skromnem streszczeniu i na kilku napomknieniach w przełocie. Pójdziemy więc w odwiedziny na chwilę do Burnsa, Wordswortha, Moora, Byrona, Walter Scotta, jak się chodzi do dawnych przyjaciół, nie dla dowiedzenia się nowości, ale żeby samem wejrzeniem na ich oblicze przeszłe wrażenia odświeżyć i potwierdzić sądy nasze.

Robert Burns urodził się w parafii Alloway pod szkockim miastem Ayr. Wychowany do pługą, wśród zgiełkliwych towarzystw rubasznego chłopstwa, jeszcze dzieckiem poczuł w sobie wyższą godność i przeznaczenie. W sąsiedniej szkółce dorwał się był przypadkiem zbioru pieśni angielskich i historyi szkockiej. Świetne czyny narodowych bohaterów obudziły w nim szlachetną dumę, i odtąd o niczem już nie marzył, jedno by się w czem do sławy swego kraju przyłożył. Silne choć niewyraźne wzruszenia rodzącej się ambicyi sam porównywał do młotów, które Homerowskie Cyklopy kołatały omackiem po ścianach pieczar podziemnych. Duma ta jednak nieprzerodziła się jeszcze w próżność i niewzbroniła mu wesołego powrotu do zajęć rolniczych. Stał znowu za pługiem, ale już nie sam, bo mu odtąd zawsze towarzy-

szyla Coila (tak bowiem szkocką muzę nazywa) i wieńczyła liściem, który szeleszcząc na skroni, nie dawał pokoju, póki tłumionych śpiewów z piersi nie wyłonił. Szybko, jakby w jednym dniu pogody, rozwinęły się w nim wszystkie namiętności serca, wszystkie żywioły poezji. Między wiosną a latem, między kwieciami a owocem prawie odstęp nie było. W ciasnym swym zakątku wezbrana dusza chwytiała łaďa przedmiot, łaďa okoliczność by dać upust pełności swojej. Ubogi chłopek był jako bogaty młodzieniec, co w pierwszym na świat rozpedzie najdrobniejsze wydatki samem złotem opęda. Każdą twarz uczciwą witał wymownem słowem, każdą pięknosć wiejską świecił uroczystą pieśnią. Za to znowu dla prostaka, dla niezdary, który śmiał mu w drogę zachodzić, miał ostry przytyk i uszczypliwą pogroźkę. Miłość dla towarzyszki, która na sąsiednim żynała zagonie, podała mu pierwszy wątek do śpiewu. Ze wszystkich też przedmiotów ten był mu najmiłszy. Nigdy nieprzestawał składać najgorętszego hołdu królowom stworzenia, bo, jak mówi:

*Stara natura stawia dziewic wdzięki,
Jako najpierwsze swoje arcy dzieła.
Wprzód na mężczyźnie spróbowała ręki,
Nim nauczona dziewicę powzięła.*

Rzecz dziwna w arystokratycznej Anglii, w kraju rycerstwa i romansu, nikt niewyrównał śpiewom miłosnym, które w chłopku szkockim obudzały proste żniwiarki, lub ubogie pasterki na górach.

Póki żył ojciec, Burns pod jego dozorem wkładał się pilnie do gospodarstwa. W całej okolicy nie było silniejszego i rańniejszego parobka do pługa. Gdy ojciec umarł, jeszcze z większą gorliwością wziął się do pracy, bo na nim jedynym spoczywało utrzymanie matki i liczego rodzeństwa. Ziemi gruntami a częstym nieurodzajem marniały jego zabiegi. W chwilach zniechęcenia zwykł był mawiać, że wiedzie życie więźnia na galerach, a na starosć pozostanie mu tylko puścić się na publicznego zebraka. W jednej z takich chwil rozpaczliwych posta-

nowił emigrować do Indyi. Wszakże przed wykonaniem zamiaru załechtła go chęć wydania swych pieśni. Powierzył je w lecie 1786. r. biednej drukarni w Kilmarnock. W mgnieniu oka rozeszła się jego sława. Niepokaźna książeczka w jednej chwili przesunęła się od chaty do dworu, a od dworu do pałaców. Wyrywano ją sobie, a gdy brakło eksemplarzy, przepisywano na wyścigi. Zdumieli się najwykwintniejsi krytycy. Zdało się narodowi, że nie tylko nowego zyskał wieszcz, ale jakby nieznane dotąd królestwo do jego potęgi przybyło. Jak Byron mówi o sobie, tak też i Burns położył się spać nieznanym nikomu, a obudził się sławnym między najslawniejszymi. Na liście prenumeratorów nowej edycji, która zaraz wyszła w Edyburgu w kwietniu następnym, znajdujemy 2000 pierwszych imion Szkocyi. Najcelniejsi literaci poczęli go odwiedzać. Przyciągnięto go do Edyburgu. Mackenzie napisał o nim szeroką rozprawę. Blair, który trzymał groźne berło krytyki, jak u nas Ludwik Osiński, ochrzcił go mianem Sielskiego Ossyana. Burnet zapraszał go na swe wieczory i biesiady, gdzie zwyczajem starożytnych nalewano mu wino z dzbanków laurami uwieńczonych. Księżna Gordon podawała mu rękę, by ją prowadził do stołu. Wielcy panowie poklaskiwali jego dowcipom, a wielkie panie siadały kołem, by się dziwić prostaczęj wymowie „wieśnianina od zachodu.“ Najbogatsze domy stały dla niego otworem. Jak magnaci filistyńscy z Samsonem, tak lordowie szkoccy igrali z atletycznym wieszczem natury. Jeden mu obiecywał bogactwa; drugi miejsce i pensją na dworze królewskim; trzeci, najmędrszy, ostrzegał: wracaj do twęj skiby i przedewszystkiem zachowaj twą niepodległość. Burns zmęczony, bo nie w swoim był tam żywiole, widząc, że moda poczynąła się od niego usuwać, posłuchał dobrej rady, — wraca do domu, żeni się z swą „lubą Joasią,“ kupuje włość pod Dumfries i postanawia domowem ograniczyć się szczęściem. Lecz zetknięcie się z wyższem towarzystwem, upajające lubo przelotne tryumfy wsącżyły w duszę jad, który już mu nigdy niepozwoił

do dawnego wrócić spokoju. Dla tych, co badają zmienne losy, promienie i mroki w życiu poetów, ustęp ten z jego żywota jest jeden z najciekawszych. Ile trzeba było siły, ile męskiej duszy, żeby nie uledez w walce między ubogą dolą a podszeptami próżności, między wytrwałością a zniechęceniem, to tylko skrzętny rozbiór jego dzieł i życia okazać potrafi. Pisze on w jednym z dziwnych swych rytmów:

*Przebywam w weselu, jak królów niewiele w pałacu prze-
bywa, O,
Choć srogo i z bliska fortuna mnie ściska, jak zwykle zło-
śliwa, O;
Wprawdzie codzień sobie na chleb ja zarobię, lecz więcej
nic wcale, O.
Lecz, że kawał chleba wszystkim, co mi trzeba, próżno się
nie żałę. O.*

Badajby był na tem przestał. Chęć jednak swobodniejszego życia skłoniła go do opuszczenia rólniczego stanu i przyjęcia urzędu rewizora w Kabaku. Odtąd też poczęły się jego smutki i zboczenia. Powołanie wędrującego po gospodach celnika, wystawiające ciągle na zetknięcie się z pijakami i kontrabandzistami, narażało go na ciężkie pokusy i łatwości do upadku. Pochlebstwa możliwych bez skutecznej pomocy, przystęp do wyższych towarzystw bez podobieństwa pożycia na równi, napawały bezustannym niesmakiem i odrazą do ludzi. Jako monarcha, znalazł faworytów i zauszników, ale nie miał przyjaciół. Uczuł, jako wszyscy teraz czują, że go ojczyzna zaniedbała. W całej goryczy omylonych nadziei zaczął pisać przeciw przemocy i niesprawiedliwości ludzkiej. Nieszczędził zółci, a co gorsza, niedość się w życiu miarkował, by światu nie dawać powodów do zaniedbania. Umarł w 38 roku wieku swego, więcej ze zmartwienia, jak z jakiej niemocy. Dziś zapomniano już o błędach człowieka, a została tylko cześć dla nieporównanych dzieł poety. Sto przeszło edycyi rozniosło jego pieśni po wszystkich dzielnicach angielskiego berta, zapisało jego imię

na najuboższych chatkach, wywarło wpływ na najwznioślejsze umysły, na cały prąd literatury.

I czemuż przypisać zrazu tak powszechne przyjęcie, a później wpływ tak trwały? W jego poezjach nieznaniesz długich poematów, a gdybyś niektóre opowiadania tem świetnem nazwał mianem, to nie ma w nich ani akcyi, ani sztuki dostatecznej do podziwiania. Przedmioty proste, domowe, bodaj nawet liche. Oprócz jednego wiersza o Robercie Bruce, to trudno gdzie doszukać się wielkiego imienia. Nadto niewynalazł żadnego nowego rodzaju poezyi, a co większa, pisał dyalektem nieprzystępnym dla wielu, a dotąd bez wstępu i przywileju na parnacie. Gdzież więc źródło jego potęgi? Oto w naturze, która w jego pieśni występuje w pełni, w swobodzie, w skończoności. Nie idzie tu o rozmiary, o wystawność. Równie drobny kwiatek, jak firmament gwiazdami zasiany, nosi na sobie cechy skończonej doskonałości, rozkrywa badaczowi nieprzebrane dziwy harmonii i jedności celów. Każda z pieśni Burnsa, — nie pytaj przedmiotu i zakroju, — jest kryształem bez szczyrbu, bez skazy, bez ukosu. Gdyby kto cokolwiek ujął lub dodał, to uczuliśmy, że nam zniszczył jeden z pierwotnych kształtów, z pierwowzorów natury. Musiało to być, jak jest, lub niebyć wcale. Samo nawet wysłowienie tak jest szczerze zestawione, iż zdaje się, że każdy wyraz tym samym porządkiem dla drugich stworzony. Niema poety, którego wiersze łatwiej w pamięci zatrzymać. Jedno słowo napomknione całą strofą od razu przypomni. Jakis klasyk twierdzi, że tylko jeden Horacy miał tak szczęśliwe wyrażenia i rytmy. Lecz Horacy mozolił się nad wierszem. Burns bez przygotowania, bez wiedzy, w natchnieniu znajdował od razu i myśl i formę. Pierwszy streścił w powabne wzory wykształcony już język, drugi uczynił jednym skokiem wzniosłą i klasyczną mowę, którą dotąd miano za barbarzyńską. Moore powiada o sobie, że został lirykiem, żeby dogodzić swój zdatności i miłości do muzyki i śpiewu. Burns nieznał muzyki, ale grała mu w duszy tajemna harmonia, na której no-

tę układał swe pieśni. Ztąd stoi on zawsze o własnej sile, a tak samorodny i skupiony, że nic na cudzą własność pochwycić i oderwać niepodobna. Wiele poeci zwykle mają naśladowców, którzy z mniejszem lub większem powodzeniem wslawiony przez nich tok obrabiają. Burnsa nikt dotąd nie naśladował. Ztąd też na żaden język w świecie jego pieśni przełożyć się nie dadzą. Urok ich Szkotom tylko w zupełności znajomy, już mniej jest przystępnym dla Anglików, a dla cudzoziemców w słabem ginie echu. Dla nas naprzykład rytmy, które wprawiają Szkotów w zachwycenie podobne konwulsjom rapsodystów greckich, kiedy Homera recytowali, w przekładzie marnieją zupełnie. Jużemy przytoczyli jeden wiersz, który się kończy zawsze na O. Oto rytm drugi, najulubieńszy Burnswi. Mówi do myszy, której gniazdo swym pługiem wyorał:

*Widząc jak w kolo pusta jest niwa,
I jako ostra zima przybywa,
Myślałaś w gniazdku, że w niem szczęśliwa
Swobodnie zadrzemiesz;
Aż tu trzask nagły! i twe przedziwa
Przeciął srogi lemiesz.*

Sam ustawiczny powrót rymów, tyle powabu w szkockim dyalekcie mający, i jego bogactwo w ustach twórczego poety odślaniający, dla naszego ucha grzeszyłby zbyt ckliwą monotonią. W całym więc zakresie literatury niepodobna znaleźć oryginalniejszego poety. I myśl i kształt wiersza, równie niepodobienstwo naśladowania w krajowym języku, jak przekładu na obcy, przekonywa nas, iż mamy przed sobą naturę w całej swój przeczystości i świetle. Dzieła przeto Burnsa musiały być ważnym posiłkiem w tym powrocie do prostoty, któremu Cowper dał hasło. Między ogłoszeniem *Zadania a Sobotniego wieczoru wieśniaka* odstęp dwa tylko lata zajmuje. Lecz Cowper występuje tak wysoko temu, że wiek tak nisko upadł. Przy Burnsie zaś wszelka miara wartości społecznej niknie u podnoża. Cowper nie wywołał Burnsa, bo ostatni objawił się bez obcego wpływu, bez względu

na czasy i ich potrzeby a braki. Burns byłby obudził Cowpera w najcięższym nawet ujęciu złego smaku. Ten wraca do prostoty dla tego, że miał sposobność poznać i obrzydzić sobie przywary spóczesnych pisarzów. Tamten śpiewa w prostocie, jak w przyrodzonym żywiole, boby inaczej tchu nie miał, — oddycha nią, nierozbierając jój, nieświadomy jój istności, ani też przeciwnego bytu, oddycha jak powietrzem, które ktoś porównał do pierwszej młodzińca miłości:

*Co cię żywi, krew grzeje, oblewa do koła,
Choć ją żaden z twych zmysłów pochwyć niezdola.*

Najznakomszą balladą czy powieścią jego jest *Tam O' Shanter*. Rzecz idzie o zapóźnionego na pohulance wieśniaka, którego gonią w powrocie do domu widma i strachy dawnem podaniem upowszechnione w miejscu, gdzie się poeta urodził. Nie tak może przez hołd dla rodzinnego zakątka poety, jak dla powieści, którą każdy umie na pamięć, okolicę tę, jako ziemię klassyczną wieszczą, nazwano *the land of Burns*, i wśród niej wystawiono mu pomnik, przy którym w 1844 najznakomitsi literaci i panowie angielscy, w gronie deputacyi ze wszystkich miast szkockich uroczystą na jego cześć odprawiali biesiadę. Taka jest władza utworów poety, skoro wpoją się w pamięć ludową, że sam niknie przed swem dziełem, i kto dziś zwiedza to ustronie, pyta o opuszczony kościół, o smutny cmentarz, o studnię czarownicy, o most na rzece Doon, nie dla tego, że w tym kościele modlił się młody śpiewak, że na tym cmentarzu leżą jego przodkowie, że się tym mostem przechadzał, lecz, że wedle jego ballady, temi szlakami Tam O' Shanter cwałował. Powieść ta jest dziwniej piękności w swoim toku. Gra po wszystkich stronach, śmieszy, zadziwia, rozczula, przestrasza. Trudno w tak ciasnym obrębie więcej zmieścić obrazów. Lecz nie jest to bynajmniej najznakomitszy z utworów Burnsa. W *Wesołych Żebrakach* jest on więcej dramatycznym, w *Przemowie do Czarta* dowcipniejszym, lubo wyznać trzeba, że dowcipkowanie, epigramatyczność, jakby ku ostrzeżeniu, gdzie największe

niebezpieczeństwo dla kmiotka-poety, najczęściej mu się nie udaje i psuje najszacowniejsze pomysły. Za to, ile razy uczuciem zapłonie, powraca mu cała siła wieszczego ducha. Niezmordowany robotnik, którego nikt przy pługu lub sierpnie prześcignąć nie zdołał, rozczuła się najdrażliwszych dusz rzewnością nad pierwiosnikiem, nad gniazdem myszy, co z pod skiby wyorał. W wierszu *Na śmierć kapitana Hendersona, w Przemowie Roberta Bruce*, a osobliwie w *Widzeniu Coily* wznosi się do najwyższej liryczności. Rzecz uwagi godna, że ile razy wpadnie na ton poważny, lub czysto liryczny, to rzuca swój domowy dyalekt, a pisze po angielsku, i to tak wybornie, że jakiś arystokratyczny krytyk powiedział, iż równie w myśli jak w stylu zawsze jest *gentlemanem*. W jednym tylko miejscu nadarzyło się nam spotkać dowód, że wiedział i o Polsce — a może i o jej przywarach. W powieści *Świstawka* opisuje przygody Pijaka, który jeździł po całej Europie, wyzywając najdzielniejszych do butelki. Nosił przy sobie świstawkę, dziedzictwem od ojców zostawioną. Ktoby z dwóch pijących ostatni zdołał w nią zadać, ten zwyciężał i odbierał mu ją w znak wygranej. Otóż nigdzie niezdolano pobić naszego zwolennika Bachusowego. Nawet w Polsce on wygrał. Dopiero w Szkocyi Ferguson, jeden z przodków Catlara Fergusona, — imie tak nam dobrze zasłużone, — odniósł nad nim zwycięstwo. Świstawka też ta dziś wierszem Burnsa jeszcze więcej wstawiona, przechowuje się w rodzinie Fergusonów, jako najdroższa spuścizna.

Lecz co dla nas jest najszacowniejszem, i w czem wpływ Burnsa jest najzbawienniejszym, to wysoka mądrość i moralność, której nigdy niezaniecduje. Godność człowieka u niego przedewszystkiem. Cnota jest miazgą, jest złotem, a stan i stopień tylko piętnem na pieniądzu. Gra uczuć tem jest nadobniejszą i wyraźniejszą w poecie, że jasny i wzniosły umysł z góry na nią rzuca swe promienie. Pieśń jego i ogrzewa i świeci zarazem. Wielki Chatham powiedział: pozwól mi pisać ballady dla ludu, a ja ci robotę prawodawstwa zostawię. W tem

znaczeniu Burns dla Szkocyi jest dobroczyńcą, prawodawcą, reformatorem. Zimny jój purytyzizm wysuszał serca do reszty. Aż tu zjawia się poeta, który uderzył, a z twardego kamienia, jak ze skały Horeb, żywotne źródło wytrysło. Jakiemże to byłoby błogosławieństwem dla Ameryki, gdyby się jój urodził podobny mu sercowy rozbudziiciel. Przytaczamy na zakończenie jeden z wierszów, w którym ten przymiot Burnsa występuje dość wydatnie; a że nie tak barwnie i treściwie jak w innych, przeto i przekład stał się łacniejszym. Taka jest jednak ukośność charakteru narodowego, że nawet w tym razie niepodobna nie ujrzeć téj przebiegłości, którą zreszczenie maluje przysłowie, że jeżeli Anglik swym sprytem zajdzie aż na koniec świata, to Szkot i dojdzie tam i nazad powróci.

List do młodego przyjaciela.

*Oddawnam myślał, mój przyjacielu,
By ci co posłać na święto;
Choćby dla tego jedynie celu,
Byś miał odemnie memento.
Lecz to trafunek i czas obwieści,
Co z mym przedmiotem się stanie;
Może się piosnka wysnuje z treści,
A może tylko kazanie.*

*Kiedy, Andrzej, w świat ci się spieszy,
Wierz mi, przestroge przyjm moją,
Ze ludzkość z dziwnych złożona rzeszy,
Co się wnet smutkiem napoją,
A bądź na trudy i troski gotów,
Choćby się plany zsićily;
Często nie zyskasz nic z twych obrotów,
Choć wszystkie wyteżasz siły.*

*Niepowiem: ludzkość samych zbrodniarzy
Twardych, wierutnych jest zgrają. —
Mało jest takich, co prócz praw strażą
Innych wędzideł nieznają.
Lecz ah! w słabości główna jój wada,
Pędzi na oślep w bezprawia;
Gdy drzącą szalą sobkostwo włada,
Rzadko ją dobrze nastawia.*

*I wszelką marszcekę strąć z czoła,
Tych, co w zapasach z losem upadną,
Niepotępijmy zbyt srogo,
Bo jeszcze w życiu odpowiedź składną
Swym przeznaczeniom dać mogą.
Często uczciwe serce posiada
Ten, co w ostatniej jest nędzy;
Człowiek wziąć może stronę sąsiada,
Choć dać niemoże pieniędzy.*

*Gdy przyjaciele znajdują się szczerzi,
Bądź z nimi w mowie jak w domu;
Lecz coś zachowaj zawsze w twój piersi,
Czegobys nierzekł nikomu.
O ile możesz skryj się głęboko
Przed ostrym nożem krytyka,
Lecz w innych ludziach twe bystre oko
Niech na wskroś duszę przenika.*

*W zacnej miłości niechaj myśl hoża
Ogrzewa istność twą całą,
Lecz się niepuszczaj w błędne bezdroża,
Choćby się wydać niemialo.
Ile w tém grzechu, — na bok uchylę, —
I jak skryć trudno te chucie;
Lecz ah! to wewnątrz stępie nas tyle,
W kamień obraca uczucie.*

*By złoty uśmiech dała fortuna,
Służ jej w skwapliwej pogoni,
I wszelką sztuką bogate runa
Zbieraj, gdzie honor niebroni;
Nie — by wśród plotu skryć je, Andrzej, —
Lub wznieść w orszakach twą postać;
Lecz dla szczytnego to przywileju,
Byś niepodległym mógł zostać.*

*Strach piekła, — groźny jestto bicz kata,
Co trzyma lotrów na smyczy;
Lecz gdy ci honor gdzie zakolata,
Tam on ze szwankiem graniczy.
Boczne usuwaj zawsze wymysły,
Skoro drgnie honor, stój w pedzie,
I w przestrzeganiu jego praw ścisły,
Niezważaj na to, co będzie.*

*Wielkiemu Stwórcy służyc ku chwale
Dosyć stworzenie niezdoła,
Lecz w każdodzijskim wstrzymuj się szale*

*A z dowcipkami niech się duch czysty
Twój bezbożnemi niebrata;
Bo za gniew Boga śmiech Ateisty
Jakże to licha zaplata.*

*Religiją uspiasz, gdy w uciech kole
Rozpuścisz język twój z braćmi,
Lub jeźli chyłkiem ona ukole,
To obojętność ją zaćmi;
Lecz gdyś wpędzony na życia burze,
Gdy ci sumienie rak spęta,
Węzeł zesnuty z niebem tam w górze
Jakżeż kotwica to święta.*

*Bądź zdrów, mój drogi bracie młodzieńczy,
Nie brak ci serca, więc oto
Niech się twe wzniosłe czoło uwienczy
Męstwem, mądrością i cnotą;
Powiem jak oracz: niech ci Bóg szczęści!
Codziennie wznataj w rozumie,
I spełnij radę lepiej choć w części
Niż sam doradzca twój umie.*

Jerzy Crabbe (1745—1832.)

Dwie miał epoki w życiu swém literackiem, i to z długim w pośrodku przestankiem. W pierwszej, jako młodzieniec, przybyły do Londynu z trzema tylko funtami szterlingów w kieszeni, potrzebujący zarobku i opieki możniejszych, drukował swe wiersze po pismach periodycznych, rozsyłał je po znanych orędownikach literatury, aż nareszcie przez Edmunda Burke, który pierwszy poznał się na jego zdolnościach, dostąpił wysokiej łaski, a potem powszechnego w kraju przyjęcia. Do tego okresu należą jego poemata: *Kandydat*, *Patron* i *Biblioteka*, jako początkowe zakłady wyższych poetycznych usposobień, i *Wieś* jako dzieło, które w pierwszym rzędzie od razu stanąwszy, dotąd między celniejszymi utrzymuje swe miejsce. W drugiej epoce Crabbe, w sukni dostatniego pastora protestanckiego, dobrze sobie na sławę obywatela swą dobroczynnością zarobiwszy, występuje w 1807, po dwudziestoletniem przeszło milczeniu, z powagą publiczne-

go moralisty i patriarchy poetów. *Rejestr parafii, Gród i Powieści Zamkowe* (The Parish Register, The Borough, The tales of the Hall) nie tylko utrzymały, ale zwiększyły jeszcze, nie powiemy urok, lecz grozę wieszczka, którego sprawiedliwie Byron zwał najrzetelniejszym lubo najposępniejszym malarzem natury,

Zapytanie, gdzie się kończy proza, a gdzie poezya zaczyna, nigdy się tak natarczywie nienastręcza, jak w przeglądzie pism Crabbeego. Godziż się podnosić do dostojenstwa poezyi ten niewolniczy, stenograficzny rodzaj powtarzania natury, co pomijając pierwszy warunek poezyi, wzruszenie przez napomknienie, zastępuje go nużącą wiernością i rzemieślniczą dokładnością w najdrobniejszych rysach obrazu? Przystoiż jej płądrować po najohydniejszych ścieżkach towarzystwa, i miasto pobudzenia nas do wzniosłych myśli, dręczyć i poniżać widokiem obrzydliwości ludzkich? Jestże ten poeta, kto zamiast zbierać w całokształt rozproszone po jednostkach z mniejszą lub większą wydatnością, ale wspólne nam wszystkim, czy nadobności czy przywary, chwytą potwór jaki, i krając chirurgicznym nożem, wyklada na stół wszystkie bezeceństwa, w jakie natura zboczyć może? Mąż zazdrośny zabijający swą żonę niewinną, zbrodniczy podszechuwacz przez zemstę wiodący go do szalonego czynu, córka wypychająca z domu ojca dobroczyńcę, zdrajca sięgający po koronę przez morderstwa, są w zakresie przedmiotów poetycznych — Szekspir cały ich przepych okazał, — a są niemi, bo każdy z nas choć w nierównym stopniu zna, co zazdrość, co ambicja, a nawet co niewdzięczność i zemsta. Lecz przedsiębiorca, który zakontraktowawszy rocznie dostawę żywności i lekarstw do domu ubogich, ścisła ich żołądki i ciesząc się, rachuje na palcach, ilu przez noc umrzeć może. — zgubiona niewiasta w zachodach i targach bezwstydu, — więźniowie w szczegółowych objawach bezczelności i sromoty, — konanie nędzarza na barłogu ze wszystkimi osobliwościami i stopniowaniem choroby, — przedmioty, które Crabbe z upodobaniem i w całej nagości opisywał, —

jako wyjątki obec powszechnemu uczuciu i wiedzy, wychodzą z poetycznego zakresu. Lecz może kto zarzuci, że przecież chciwość skąpca, upadek kobiety, udręczenia i samotne myśli więźniów, konanie ubogiego, tylu prawdziwym poetom bogatego dostarczyły wątku. W samej rzeczy, bo w tych wszystkich przypadkach jest zawsze coś ogólnego, co wzrusza każdą duszę, przejmuje każde serce. I w tej to ogólności poezya ograniczyć się winna. Każde zaiste konanie jest pełnem uroczystości i nauki, ale, czy żebrak, czy monarcha, jak kona z suchot, jak z puchliny, jak w paraliżu, to tylko do spostrzeżeń lekarskich należy. Chciwość Shylocka jest zajmującą, zwłaszcza w potyczce z innemi uczuciami, ale przezieranie kosza szyfonierów paryzkich sprawiłoby tylko odrazę. Więzień w swych dumaniach, przypomniałszy ze świata, choć zbrodniarz, jest poetyczną postacią, ale w skargach na niewygody, na plugastwo, na zbytnią ostrość dozorców, należy jedynie do prawodawcy i przyjacielu ludzkości. Słaba kobieta, póki trwa walka między cnotą a występkiem, przedstawia jedną z najbogatszych osnowę dla poety, ale sam upadek, jego następstwa i nędze w biegu do ostateczności, zaledwie w prozie, i to pod osłoną, wyluszczone być mogą. Tymczasem Crabbe wszystkie te czarne obrazy rozlacza w całej ich żałobie. W swój dagerotypowej dokładności nie opuszcza najlichszego szczegółu, nieprzepomina najodrażliwszych rysów. Domy ubogich, szpitale, więzienia, ciasne i brudne zaułki po miastach, oto dziedzina jego poezyi. Udręczony czytelnik składa na bok książkę, nie z większem zamiłowaniem ku cnotcie, nie z jasną myślą na przyszłość, ale z zawrotem głowy, z omdlałem sercem, i z pogardą dla rodu ludzkiego. Oto dwa przykłady wyjęte z ustępów najczęściej przytaczanych jako wzory poetycznej dzielności. Któż się niewzdrygnie na ten obraz grzesznej niewiasty?

*Schwycić rysów niemogę, tak to, co ujrzałem,
Było błędem, wychudłem, plugawcem, znędzniałem;
Z błędnym wzrokiem, ofiara cierpień i rozpusty*

*W rozpaczę jej wesołość, z omdlenia śmiech pusty;
Jej twarz, gdzie twarz znać było, pędzle sztuki głupie
Skrzyły w gorącej różu szpetnego skorupie, —
Kłamiwa barwa kwiatu, rumieniec na trupie!*

Mniej odrażliwym, bo też przedmiot mniej wstrętny,
jest opis domu ubogich i ich lekarza.

*Taką ta izba. Jedną belką przedzieloną,
A nad nią gołych krokwi pochyłe ramiona;
Liche powrósta zgniłą przeplatają słome,
I tylko muł i glina na ścianach widome,
Krom jednej nędznej szyby, koślawej z latania,
Która ulęgę wpuszcza, ale dzień wygania.
Tu na macie, w barlogu i pyłu osadzie,
Mdlejący nędzarz głowę schorowaną kładzie.
Do ust kubka z posiłkiem nikt tu mu niepoda,
Ni z ócz otrze łzę skrzepłą jak stojąca woda,
Nieuśpi tkliwą mową cierpień, ni w nadzieję
Nie wzniesie tak, że sama boleść się zaśmieje.*

*Lecz wkrótce głos krzykliwy, nagły, przerywany,
Wstrząsa niepewnym dachem i obiega ściany;
I oto wchodzi człowiek w wyszukany stroju,
Pełny dumy, chytrości, szumu, niepokoju,
Z wrokiem, który niewzruszy żadnych cierpień władza,
Z pośpiechem, co przy wchodzie pośpiech wyjścia zdradza;
Złękłą rzeszę przed siebie zwoluje niezwłocznie
A w oku ma emetyk i losu wyrocznie.
Szarlatan! Dawno znając wszystkie nędz rodzaje,
Łsy naprzód tej ofierze, której śmierć zadaje,
A w śpiącym rządzie pieczę swym mordom zdobywszy,
O których niedbać raczy, tym najłitościwszy.*

*Placony przez parasię za służbę w tym domu,
Mędrek — szyderca wzgardy nieszczędzi nikomu.
Do łóża, gdzie choroba, w nagłym pędzie kroczy,
Niecierpliwść mu drażni odwrócone oczy,
I zwykłych kilka pytań zadawszy z daleka,
Co tchu bez odpowiedzi wraz do drzwi ucieka.
Zemdłony pacjent, dawno już zdany na męki,
Przywykły do zaniedbań, wie że próżne jęki,
Przestaje więc już żebrać, by człowieka rada
W pomoc przyszła, — i cicho do grobu się składa.*

Tą koleją poemata Crabbego wydają się być nieprzerwanym ciągiem satyr. Gdziekolwiek jednak można w nich spotkać wznieście i pogodne obrazy. Izaak Ashford, wzór szlachetnego kmiotka, jest nadobną postacią i tak zaszczytnym przykładem dla wieśniactwa angielskiego, jak dla szkockiego wystawił Walter Scott w *Jeanie Deans* lub w *Dandzie Dinmont*. Opisy sielskiej natury, jak naprzykład opis jesieni w *Powieściach Zamkowych*, lub pustkowi z koczowiskiem cyganów w powiastce *Podróż Kochanka*, są trafne i zajmujące, bo choć autor zwykłą sobie skłonnością przepępnia je zbyt drobiazgowymi szczegółami, to przecież i niewolnicze fac-simile mniej razi w tym zakresie, jak w innych, a często zastępuje wyższe w sztuce pojęcie. Lecz i tu wybiera on przedewszystkiem posępne widoki. Ponurość była w całym jego organizmie duchowym. Najwięcej pisał w jesieni. Wiosna i lato miały bezkwietnie, bezowocnie. Mgły zaś Listopadowe i Grudniowe szrony rozbudzały w nim zapał i pochoćność do śpiewania. Syn, który wydał jego żywot, powiada, że osobiwie nagła śniegu ponowa popędzała go do najwyższych i najplodniejszych wzruszeń. Kto się zajmuje porównywaniem osobistego charakteru poetów z główną ich dzieł zasadą, znajdzie w Crabbe'cie dziwne sprzeczności. W pożyciu bowiem był słodkim, ujmującym, nawet potulnym. Ku wychowaniu i polepszeniu bytu ubogich nie szczędził ani czasu, ani dobytku. Kochał dziatki nadzwyczaj. W starości przesiadywał dnie całe w parafialnej szkółce. Wskazując na swych drobnych wychowanców, zwykł był mawiać: oto najmilszy towarzysze sędziwego wieku. Z pism zaś wydaje się mizantropem, odrębnym, zrzędnym, nielitościwym, niezdolnym ani dać komu, ani przyjąć pociechy, jak gdyby całe życie przepędził gdzieś w jaskini zbrodniarzy, wśród miejskiego zepsucia, jak gdyby zwątpił, że społeczeństwo może w cnoty zakwitnąć, i że jest coś na świecie prócz niepołamanych bezpraw' z jednej a nieobronnej nędzy z drugiej strony, — istny Hobbes między poetami.

W stylu jędrny i starowny, przekracza często granice przystojności zbytniem ubieganiem się za dobitnością w wyrażeniach. Wiersz tak nabity, iż zdaje się pękać z przepełnienia. Przymiotnik jeden za drugim, coraz silniejszy, aż w grzmot się rozlega. W pierwszym okresie naśladował Churchilla szorstką, rubaszną siłę. W drugim, kiedy wybierał przedmioty z wyższej warstwy społeczeństwa, starał się więcej o ogładę, o pewną uprzejmość w stylu, ale napróżno; ile tylko razy zdarzy się sposobność, to do dawnego powraca. W składzie wiersza przypomina Popego. W opisie skąpej gospodyni, u której

Niebo w oku, a w ręku klucze od spiżarni,

znać wyraźnie chęć naśladowania uszczypliwéj satyry z czasów królowéj Anny. Nazwano go też Popem w łapciach. Rzecz niepojęta, — pisarz, który nadewszystko kładzie wierzytelność i prostotę, mówiąc sam o sobie

będę iść koleją,

Jaką prawda chce chodzić, a wieszczę nieśmieją,

niemoże się nawet otrząsnąć z najekliwszych wymagalności dawnéj szkoły, — każdy chłopek jest u niego pasterzem, a nimfą każda niewiasta; zamiast pospolitych nazwisk, urojone, romansowe; nie po prostu John i Betsy, ale Damon i Phoebe występują wśród scen dalekich od pojęć klassycznej starożytności.

Wątpić się godzi, czy w jakimkolwiek języku znajdzie się tłumacz dla Crabbego. Dla cudzoziemców, zwłaszcza nieznających układu społecznego w Anglii, trzebaby licznych komentarzów do zrozumienia całego toku, a w tym względzie raporta urzędowe i statystyczne tabelle zawsze dla nich będą ciekawszemi. Sami nawet Anglicy, którzy go dziś jeszcze mieszczą w podług Burnsa i Byrona, czynią to więcej raz przez hołd dla muszkularnego języka i ojczystéj miazgi, to przez wdzięczność dla wysokiéj moralności i zbawiennego wpływu, który niezaprzeczenie pisma jego wywarły, budząc sumienie publiczne przeciw nadużyciom, niedbałościom i występkom. Większa bowiem staranność o ubogich, bliższe zwrócenie uwagi

na stan rólniczy, ulepszenie szkółek, więzień, szpitalów, zgoła to wszystko, do czego tak raźnie w naszym wieku biorą się Anglicy, należy się w części uchyleniu zasłony, zdarłej silną, choć nieukładną ręką śmiałego poety. Wprawdzie ma on niejaki podobieństwo do dzisiejszej szkoły romansów francuzkich, ale rozkładając z pewnem upodobaniem liszaje i wrzody towarzyskiego ciała, nie czyni nigdy cnoty spowszedniałą, a zbrodni zajmującą. Więcej moralista i cenzor katońskiej odwagi, jak poeta, postradał jasność i spokojność sędziego, siłąc się na wyszukanie co najjaskrawszych obrazów. Szekspir pisał dramata, w których cała gra namiętności w najdobitniejszym występuje przedstawieniu. Nikt mu dotąd niesprostował w znajomości serca i duszy ludzkiej. A przecież kto wie, czy byłby zdołał napisać filozoficzną księgę o powodach i sprężynach działań człowieka. Crabbe, na odwrót mógł być systematycznie wystawić skazy psującego się społeczeństwa i ich przyczyny, ale unosząc swą wiedzę i uczucie w zbyt wysoką i niewłaściwą sferę, upadł brakiem artystyczności. Chciał być poetą, zaszczyt mu ten przyznają rodacy, sądziliśmy go więc wedle poetycznej miary. Odmawiając mu jednak miejsca, jakie względy współziomków przyznały, niepodobna mu zaprzeczyć, że był jednym z potężnych wyobrazicieli swego czasu. Znakomicie przyłożył się w oddziałaniu na rzecz sumiennosci, ale zgrzeszył przesadą. Obrzydziwszy sobie wytworne trefnisiostwo, wpadł w przeciwną ostateczność, i wziął nagosć za prostotę.

(Dokończenie nastąpi)

Literatura tegoczesna Anglii.

Ellen Middleton by Lady Georgiana Fullerton.

(Dokończenie.)

Zresztą pewien rodzaj egoizmu, coś dziwaczego w charakterze, coś odpychającego w twarzy i ułożeniu — coś zimnego nadzwyczaj w obejściu, jakie tworzyło istotę że tak powiem Julii, nie mogło jęj przysparzać miłości u matki, której dusza wzniosła i szlachetna tylko to szczerze kochać i wielbić umiała, co było w rzeczy samęj wzniosłem lub szlachetnem. — Taki stan rzeczy znajdują dwaj młodzi ludzie tylko co przybyli z Eton, gdzie kilka lat przepędzonych razem każe im wierzyć w ściłą przyjaźń, bo opartą dotąd na zobopólnym szacunku.

Poważny Edward Middleton synowiec właściciela Elm-sley, jeden z tych surowych ludzi, co nie znają młodości, w których niewzruszona dusza i poważny, bo dojrzały umysł nie mogą nie przynęcać i nie ujmować ulotnych usposobień kobiety. Edward mówię za pierwszym spotkaniem się z Heleną natchnął swą młodą kuzynkę tym szacunkiem, co podwojony uczuciem tkliwego podziwu jest jednym z niezbędnych warunków miłości dla serca wyższej kobiety. — Co do niego, jeżeli jęj jeszcze

nie pokochał, to przynajmniej zaczął już badać jej skłonności, oceniać wady i przymioty, zgłębiać umysł i duszę. — Co do Henryka Lovell, brata saméjże pani Middleton, wyobraźmy sobie jeden z tych śmiałych charakterów Saxońskich, jakich Anglia ma czasem nie mało — bohaterów goniących za wielkimi wypadkami, — za szaloną radością; rozkochanych w groźnych niebezpieczeństwem zawodach, przyjaznych samym gwałtownym namiętnościom, zdolnych tylko do boleści bez cugła i tamy: dla tego Lowella życie bez przygód, bez wzruszeń byłoby lepiej jak piekłem. Nie jednemu z nas zapewne dało się postrzedz niekiedy tych ludzi popędu, co mówią dobrze, co w pogadankach ujmujący i świetni, co szaleją za czynem, co zdolni do wielkich i szczytnych rzeczy, jeżeli wyuzdana rozwiozłość lub niebezpieczeństwo nieroztropnie wywołane nie skruszyło ich życia przed dwudziestym piątym rokiem. Ich wybryki są wszystkie na chybił trafił. Ich odpoczynek w ostateczności — ich nieprzyjacieli w nudach i uprzykrzeniu. Takim był Walter Rallich w XVI. wieku, takim był Buckingham w XVII. takim Fox w XVIII.

Starożytna siedziba Middletów dotykała jedną stroną wspaniałych ruin dawnego opactwa. Z drugiej strony tuż pod samym prawie domem płynęła bystra i głęboka rzeka. Po nad wąską ścieżką, co ją od domu przedzielała, wznosił się staroświecki kamienny ganek, którego kilkanaście spadzistych, bo zużytych schodów stanowiło jedyne zejście do pokoju połączonego z domem przez ładny i wykwintny mostek na rzece. Obiedwie dziewczyny znajdowały się na ganku. Wybujała wyobraźnia Heleny podziwiała czarujący pod sobą widok wspaniałej natury. Julia pocieszała się w wesołych płaszcach po ganku z długiej i niedawno co przeszłej choroby. — Wdzięczność Heleny dla ciotki — prawdziwa przyjaźń dla Julii nie dozwalały pierwszej spokojnem poglądać okiem na niebezpieczne skoki — z których jeden tylko chybiony — a chybić go było łatwo na ślizkich jeszcze od deszczu kamieniach, groził Julii utratą życia. Na nie-

szczęście słabość Julii wzmocniła jeszcze odrazę, jaka już od dawna między dwojga istniała siostrami. Upominania Heleny drażniły tylko krnąbrną i uporną Julię. Zamiast dobrej posłuchać rady, Julia śpieszy nad brzeg sam spadzistego ganku, i tam uchwyciwszy się słabiej poręczy, chustać się zaczyna. Strwożona Helena używa tą razą siły i wzięta gwałtem Julia znajduje się na moment przy boku swój kuzynki — ale rozdrażniona do żywego, wydaje nagle okrzyk boleści, a spiesząc jednym pędem do matki — oskarża Helenę wśród jęku i szlochów, że ją uderzyła, że ją ciągle drażni — że jej jednym słowem żyć z Heleną niepodobna. — Matka zawsze matką. „*To już nie do wytrzymania*“ woła w chwilowem uniesieniu a obracając się do męża, prosi go o odesłanie Heleny na pensyą. Helena słyszy wszystko. Niewinna przecież czynu, o który ją Julia oskarżyła, wrodzona jej duma zabrania jej usprawiedliwiać się tam, gdzie dotąd samą się tylko spodziewała sprawiedliwości. A potem różnić matkę z córką — jestże to wypłacać dobrodziejstwa tak szczone, tak istotne ukochanej ciotki? Łzy jej przecież płyną gorzko. Dziś po raz pierwszy ujrzała się prawdziwie sierotą. Julia wybiega w tryumfie. Zachęcona słowy matki, że Helena pojedzie na pensyą, stawia poraz drugi na przekór Helenie na najwyższym schodzie i raz jeszcze niebezpieczne swe zaczyna płasy. Przypadek nieuchronny. Helena zaklina ją na matkę, by zeszła z tego schodu, ale za całą odpowiedź te tylko otrzymuje słowa: *pamiętaj, nie drażnij mię więcej, bo cię papa zaraz jutro wywiezie.* Dotknięta do żywego, biedna Helena się unosi, spieszy jednym pędem ku siostrze, by ją mimo niej samą ocalić — ale zagrożona podniesioną ręką Julii, uderza ją w chwilowym szale gniewu, a tej noga się ślizga, a odgłos upadającego w rzekę ciała odbija się o uszy skamieniałej Heleny. *Zabiła ją*, odzywa się głos jakiś na ganku i Helena pada wzdłuż jak nieżywa. — Powrót do przytomności, zwiastuje jej śmierć Julii. *Zabiłam ją.* Kto to powiedział? Na około wszędzie pusto, i jednej żywej nie

widać duszy. O kilkadziesiąt tylko kroków, massa ludzi krząta się przy blasku pochodni po nad brzegiem rzeki, by w niej wynaleść ciało nieszczęśliwej Julii. Cóż za noc dla Heleny! Ona obsypana dobrodziejstwami matki, zabija w chwili gniewu córkę. — Jakże zdoła teraz wytrzymać spojrzenie rozpaczającej matki — osierociatego ojca? — Wyraz *Zabiła ją* tętni jej ciągle w uszach jak jęk grobowego spżu. Innego przecież nie ma ratunku. Wyznać prawdę należy. Trzeba pójść do matki i powiedzieć jej w oczy. *Ja ci to zabiłam córkę.* Z umysłu czy przypadkiem. Tutaj straszliwa niepewność. Któż jej biednej uwierzy, że raz jej własną zadany ręką nie miał nic wspólnego z żądzą przywłaszczenia sobie kiedyś majątku, który dziś, po śmierci Julii, do niej już tylko należeć może. Walka straszliwa, bo walka powinności z sercem, przywiązania z miłością własną, trwogi z goryczą — żalu tego, co przeszło, z bojaźnią utraty tego, co jest — i co być ma jeszcze. — Wspomnienie jednej popełnionej winy ścigać będzie Helenę przez całe jej życie. Wspomnienie to zatruje radość niewinnego jej serca, zaćmi blask jej piękności, zapełni samotne jej chwile straszliwymi widziadły nocy: smutny skutek jednego mimowolnego prawie poruszenia ręki ogarnie ją okropnymi troskami, niegodziwymi otoczy intrygami — zarazi serce boleścią nie do zniesienia i młodą jeszcze na śmiertelnem rozciągnie łożu. Biedny ptaszek ugodzony, wodzi z krzaku na krzak drobne ziarnko ołowiu, jakio wydostać mu z serca niepodobna, i umiera nareszcie pod jego wolnem działaniem — bo to ziarnko dotknęło nareszcie osłabionej już życia sprężyny. — Dla czegoż przecież śmierć Heleny ma być konieczną? Nie maszże na nią ratunku? Jest, i skuteczny bardzo. Ale Helena protestantką, a protestantyzm nie nauczył jej jeszcze zagajać podobnych ran, podobnymi zadanych razami. — Z katolicyzmem i z spowiedzią wszystko tu było do naprawy. Gdyby samegoż dnia wypadku, Helena była mogła jak powiada Shakspeare „*użyć duszy tego niebezpiecznego ciężaru,*“ gdyby człowiek, ustanowiony pośredni-

kiem między Bogiem i ludźmi, miał być prawo zmasać z jój dłoni straszną tę plamę krwi, Helena byłaby żyła — nie byłaby pewno tak wiele ucierpiała. Katolicyzm jest religią władzy co karze ale co i przebacza zarazem; protestantyzm, wiara osobista, co stawia namiętności każdego w obce jego rozum, — co nakazuje sercu rozbierać się i wybadywać — co umysłowi poleca się sądzić; to też boleści niezagojone tłoczą się same na siebie, krusząc w swój walce słabą istotę co je w duszy nosi. Katolicyzm powiada człowiekowi: Bądź posłusznym, wierz, upokórz swoją dumę, wypowiadaj się — winy twoje będą ci odpuszczone. Protestantyzm przeciwnie woła nań: Badaj dobrze twą duszę, upokórz się sam przed Bogiem, bądź surowym dla samego siebie, jeżeli Bóg zechce, to ci przebaczy. Tak więc z jednej strony władza, z drugiej badanie: tu nadzieja i otucha, tam niepewność — a może i rozpacz.

Helena nie zdążyła przemóżyć na sobie wyjawienia prawdy. Idzie jój już tylko o to, czy miała świadków lub nie? Kto wyrzekł okropne słowa *Zabiła ją*. W zamku dwóch tylko ludzi widzieć mogło wypadek. Edward lub Henryk. Ale który? Zbieg przecież różnych drobnych okoliczności, każe wierzyć Helenie, że to Edward posiada jój okropną tajemnicę. To też pomieszana w jego obecności, unika jego wzroku, jak ognia. Edward jój mówi o potrzebie *prawdy*; gromi ją, że zaniedbuje kościoła i najmniejszą uchybienie surowem karcą spojrzeniem. Henryk za to tem więcej szalony, tem miliej z nią przestaje, nigdy jój prawie nie opuszcza — na konnych przechadzkach do wyścigów zachęca — i otacza jój życie, jakby jakim wirem sztucznego wzruszenia, umyślnie natężonej wyobraźni, nieczem niewstrzymanych śmiechów, zabaw i wesela. Widoczna, że to nie Henryk dzieli z nią okropną tajemnicę. Razu jednego Helena znajduje w książce kilka namiętych wierszy, nieznaną napisanych ręką, sięgających się jak najwidoczniej do wypadku 15. Lipca. Edward nagle przed nią stawa — chce coś ważnego powiedzieć, ale strwożona Helena ucieka, jak łania — choć

serce jęj tęskni za tym, którego opuszcza. Drugi raz Helena się budzi w ogrodzie i znajduje w ręku te słowa na małej napisanej kartce. *Strzeż się. Znam twoją tajemnicę!!* O kilkadziesiąt od niej kroków daje się widzieć twarz Edwarda, co więcej pozury, jak kiedyś, wolnym idzie krokiem do przyległego lasu. W dwie godziny przybyły posłaniec donosi rodzinie całej, że Edward opuścił Elmsley, by przepędzić czas jakiś w stolicy Francji lub we Włoszech. — Uwolniona od surowych oczu Edwarda, biedna Helena zapomina powoli, co to jest cierpieć. Nie masz-że przy niej Henryka, by ją omamić, odurzyć i dać jęj nawet imię zgrzyzoty zapomnieć? O dwie godzin drogi od Elmsley mieszka stara piastunka pani Middleton, a mamka Henryka. Ciotka daje Helenie jakieś polecenie do pani Tracy. Helena woła Henryka i oto oboje lecą szalonym galopem przez zielone błonia pysznego parku Middleton. Henryk na drodze dopiero dowiaduje się celu ich przechadzki. Zaklina Helenę by odwiedzin tych zaniebawiła — Helena opiera się i jedzie ciągle dalej. Henrykowi koń się potyka i Helena sama już tylko ma polecenie ciotki wypełnić. Ale jakież jęj zdziwienie, kiedy się widzi w godzinę potem dognaną od Henryka. Ale nie tu koniec jęj zdziwienia na dzisiaj. Obok pani Tracy, kobiety sześćdziesięcioletniej, ponurego wzroku, wyrazów twarzy surowych i zimnych, głosu rozbitego spiżu, Helena znajduje dziewczę czternastoletnie, wnuczkę pani Tracy młodą Alice, wzór niewinności i swobody duszy. Kilka słów rozmowy daje jęj poznać, że Alice oddawna znajoma Henrykowi — że młodość ich ubiegła prawie razem — że Henryk nie bez starań dla Alicyi, bo kilka wyborowych książek, dobranych rzadkich kwiatów świadczą o jego czulej pamięci. — Dla czego Henryk nigdy nie Helenie o Alicyi nie wspomniał? Helena ma wyjeżdżać. W dolnej izbie zrywają słycać sprzeczkę. Henryk uniesiony wykrzykuje: „*Jeżeli nie masz dość siły nad sobą, by tak się obchodzić jak ja chcę i rozkazuje, widzisz mię dzisiaj po raz niezawodnie ostatni!!*” Twarz jego cała w ogniu, chwytą szyb-

ko za konia — dosiada go jednym skokiem i puszcza się czwałem do domu. Biedna Heleno! nie jest-że to nowa dla ciebie chmura? —

Codzienne życie Heleny z Henrykiem nie uchodzi baczного oka pana Middleton. Miłość, czyli raczej pozory miłości, jaką między nimi postrzegać mu się zdaje, krzyżują jego własne zamiary. Nalega więc na Henryka, by wziął się przecie do pracy i co prędzej do Londynu pospieszał. — Henryk opuszcza Elmsley, bez jednego słowa żalu — bez jednéj oznaki zmartwienia.

W dni pięć po jego odjeździe przybywa list od pani Brandon, drugiéj siostry pana Middleton, a tem samem ciotki Heleny, z prośbą o przysłanie téjże na jaki paratygodniowy pobyt. — Nie bez żalu opuszcza Helena panią Middleton — niepodobna przecież, by zmiana miejsca nie zziałała jakiej zmiany w moralnem usposobieniu Heleny, którą widok miejsca, gdzie życie jéj raz na zawsze się zatrulo, nie może robić najszczęśliwszą z kobiet. — W przejeździe swym do pani Brandon, Helena zatrzymuje się w Salisbury. Wspaniały tego miasta gotycki katedralny kościół szczególną jéj zwraca uwagę, ale podczas, kiedy stojąc w oknie oberży, podziwia nadzwyczaj piękne arkady kaplicy — o jéj uszy objaja się po trzykroć wymówione imię Alicyi. Są to dwaj ludzie postaci tych, co wiele już odbyli podróży do Botany-bay. Mówią jéj o młodym człowieku, co dotąd zdawał się kochać Alicyą — ale teraz omamiony pięknoscią drugiéj dziewczyny — opuszcza pierwszą — by drugą swemi ścigać zaloty. Helena czuje, że mowa o Alicyi, o niéj i o Henryku. Na powtórzone wypytywania, czy jest w Salisbury jaka rodzina Tracy — i jakie dziewczę imienia Alicyi — służący opowiada długą historiją zmarłego niedawno korzennego kupca, którego połowa majątku ma należeć kiedyś do Alicyi, jego jedynéj siostrzenicy.

Helena przybywa do pani Brandon. Pierwszą osobę, jaką na progu spotyka, jest Henryk. Kilka słów dają jéj zrozumieć, że zaproszenie swe do siedziby Brandon winna jedynie Henrykowi. Towarzystwo u ciotki mniéj

więcej dobrane, w każdym razie liczne. Między damami rozróżnić należy Rozę Moore Irlandkę, dowcipną, ładną, ujmującą, szczebiotliwą, różową jak jej imię, patryotkę w obliczu ministrów cokolwiek za dziką przy najlepszym tonie, zawsze w skokach i płasach, śpiewającą patryotyczne piosnki irlandzkie pod samym nosem najzapaleńszych Torysów. Dnia jednego Irlandka siada przy stolicku od pracy, a widząc wszystkich w zebraniu, uzbiera się miną poważną — kładzie na chwilę robotę, opiera łokcie na kolana a podpierając rękoma swą twarzyczkę różową i okrągłą, patrzy bystro na Henryka i tak do niego przemawia. „Panie Henryku Lovell! przykro mi bardzo robić ci nieprzyjemne wyznanie. Trzeba żebyśmy się koniecznie pobrali. Trzeba tego bez zwłoki.“ Ach rzecze Henryk, kłaniając się nisko. Jeżeli to ma być koniecznie, ja jestem gotów na wszystko!! — Irlandkę znali wszyscy za bardzo wesołą. To przecież przechodziło granice pozwolonych żartów. Każdy ją więc prosił o wytłómaczenie zagadki. Oto tak, powiada Irlandka, wiecie wszyscy, jak dalece lubię ranne wycieczki. Wsiadłam dziś bardzo rano na mojego Selima — John towarzyszył mi na swój stariej Dorocie. Selim lubi częstego galopa. Ja jednego z nim jestem zdania, ale pocziwy John daleki od tego. Mój Selim wyścignął jego konia o 200 przynajmniej kroków. Załam naszego lasu widzieć go już niepozwał, kiedy dwóch ludzi, w łachmanach prawie wybiega z gęstwiny i podczas, kiedy jeden chwytą za cugle Selima, drugi mi krzyczy głosem gniewu i przekąsu!! *Sluchaj dziewucho. Idź co prędzej za Henryka Lovell. Nie dróż się tak długo z twą tubą twarzyczką — inaczej pamiętaj, że my nad tobą czuwamy. Idź za Henryka co najprędzej!!* Tentent kopyt konia Johna rozpedza ich nazad w gęstwiny. Jak widzisz więc, panie Henryku, nie masz czasu do stracenia. Ci dwaj Jegomościowie mają minę dosyć — a może nawet i za nadto odważną. Nie wiedziałam dotychczas o pańskich zamiarach. Są one bardzo dla mnie pochlebne, niepodobna mi przecie wstrzymać się powiedzieć, że masz szczególnego rodzaju przy-

jaciół.“ Dwaj ludzie, co zatrzymali Irlandkę, są to ci sami, których Helena spotkała w Salisburg. Nazajutrz po tym wypadku, zdarzyło się widzieć Helenie Henryka w ich towarzystwie. Obejście jego odtąd się zmienia. Czarna rozpacz zaczyna się malować na jego czole, a tłumienie gwałtownej jakiegś namiętności jest w nim aż nazbyt widoczne. Wieści tymczasem dochodzą o Edwardzie. Był on świadkiem we Włoszech dość szczególnego wypadku. Dziewczynę jedną w pobliżu gór Calabrii kochało dwóch młodych ludzi, bandyta i żandarm, co go ścigał. Dwaj przeciwnicy spotykają się raz jednego nad brzegiem przepaści. Obaj się jeden drugiego chwytają. Jeden krok dalej, a jeden z nich umrzeć musi. Przybywa Amina i jednym ciosem zadany w głowę żandarma, uwalnia bandytę od śmierci. Ale cóż — czyn ten tak śmiały zamiast tem żywszą obudzić namiętność w sercu Giacomo — studzi przeciwnie dawną. Giacomo oświadcza Aminie, że *wdzięcznym* jój pozostanie do zgonu, *kochać* jój przecie już nie może. Edward usprawiedliwił uczucie Giacomo, wyrażając się z boleścią nad losem biednej Aminy. „Straszliwa była to rzecz dla niej. Obejście się z nią bandyty nie godnem było zapewne obrony na drodze li samego tylko rozumu. Są przecież pewne instynkta — pewne dążności silniejsze jak cały rozum ludzki i jakkolwiek okrutnem by było obejście się moje z tą, coby mi życie ocaliła, kochaćby mi przecież niepodobna było téj, co się raz krwią ludzką zmasała.“

I Helena i Henryk przytomnymi byli opowiadaniu tego wypadku. Zdanie Edwarda, powtórzone co do słowa, odmienne na obu zrobiło wrażenie. W Helenę zdawało się wlewać przekonanie, że za wyznaniem prawdy, Edward tylko wzgardę miałby dla niej w udziale. Henryka zachęciło do stanowczego kroku. Namiętna jego miłość do Heleny, zagrożona z jednej strony groźbą dwóch nieznanomych, podsyciona z drugiej myślą, że Edward nigdyby niechciał Heleny, gdyby wiedział prawdę, którą do dziś dnia on tylko, Henryk, z Heleną dzielił, wprawia go w niesłychany paroxyzm. Przypadek zrządza, że

oboje znajdują się sami w niedostępnej grocie. — Henryk wyznaje jej swą namiętność, a odepchnięty od Heleny, grozi jej gniewem, rozpaczą i wydaniem tajemnicy, do której się nareszcie przyznaje. Chce się z nią żenić potajemnie. Miłość jej przecie do Edwarda, której cały ogrom dziś dopiero biedna Helena ocenia, dozwala jej oprzeć się i miłości i groźbom Henryka. — Nadchodzi chwila, kiedy biedne dziewczę przytłoczone ciężarem losu, co je gnębi, rzuca się nareszcie na łono Boga i spowiedzi, ale cóż, kiedy straszliwe wyznanie już prawie na ustach miłość własna, bojaźń utraty serca Pani Middleton, utraty szacunku Edwarda, bierze raz jeszcze górę i biedna ofiara gręźnie raz jeszcze w okropne bagno, z którego odtąd śmierć tylko sama wybawić ją jest zdolna.

Helena wraca do Ellmsley. W miesiąc potem dowiadują się wszyscy o ożenieniu się Henryka z Alicją. Edward przybywa, a widząc Helenę obojętną na zmianę losu Henryka, którego dotąd za szczęśliwego uważał rywala, zaczyna coraz więcej brać otuchy. Na nieszczęście Edward — prawy Anglik w całej sile wyrazu, tłómaczy sobie Helenę za pomocą rozumu, zamiast ją pojąć instynktem, zamiast ją odgadnąć za pomocą serca. — Surowy na drobnostki, ani stara się, ani może wpłynąć na szczere powierzenie się Heleny sercu tego, którego kocha. Walka ta miłości z bojaźnią jest arcy dziełem Lady Fullerton. — Rodzina Middleton udaje się do Londynu.

Tu miłość Henryka do Heleny zwiększa się coraz silniej: Na próżno ożeniony, pogardza zimną, a raczej niewinną Alicją: ściga krok w krok biedną Helenę i jednej jej chwili spoczynku nie daje. W jednym z namiętnych swych szalów opowiada Helenie swoje życie, przyczyny swego ożenienia się z Alicją, nareszcie okoliczności towarzyszące tajemnicy Heleny.

W Eton jeszcze namiętności Henryka wrzały już dość gwałtownym ogniem. Szcupłego bardzo majątku nie wahał się przecież poświęcić grze. Tysiąc blisko funtów, przegranych w 19. roku życia, zapłacił zań szwagier jego Middleton, na prośby i wstawienie się Edwarda.

Henryk przyrzekł im obu nie grać więcej pod słowem honoru. — Złamać swe przyrzeczenie, było to oddać się na pogardę i szwagrowi i Edwardowi, z których każdy obyczajów bez skazy, nie pojmował zapewne, jak angielski gentleman może złamać raz dane słowo. — Gra przecież nieprzeszła być zatrudnieniem Henryka. Za przybyciem swem do Londynu, zdarzyło mu się wygrać dosyć znaczną summę. To go zachęca do grania — podsycany przeto piekielnemi podszeptami pewnego pana Eswurt, który pod nazwą przyjaciela, rujnuje nareszcie do szczytu biednego Henryka. — Za dni dwa najdalej należy mu płacić blisko 8000 funtów — na które i jednego nawet niema grosza. — Ojciec Henryka zajmował dosyć wysoką pozycyą w Ministerystwie marynarki. Henryk bieży do niego, by go o radę jaką prosić. Ale ojciec się wybiera na obiad i prosi tymczasem Henryka, by został w biurze, w celu wręczenia 5,000 funtów sekretarzowi, który ma wkrótce przyjść do bióra. — Zły duch nieopuszcza Henryka. Zaledwie ojciec się oddał, przychodzi pan Eswurt i upokorującym przemawiając tonem, o dług 3,500 funtów się domaga. — Rozpaczą przejęty Henryk bieży czempredzój do biórka, wyjmuje zeń żadaną kwotę i płaci Eswurtowi. Za chwilę przybywa sekretarz, a raczej factotum ojca Henryka. Jest to brat pani Tracy, ten sam, którego Helena spotkała w Salisbury, o którym opowiadała Irlandka. Harding spotkał wychodzącego Eswurta, dowiedział się od niego, że Henryk może zapłacić, widzi teraz pomieszanego Henryka, który mu nazajutrz dopiero po pieniądzu przyjść rozkazuje. — Henryk spieszy do domu, Harding go spieguje. O dwónastej Henryk ma sobie życie odebrać. Ale w chwili kiedy już ma brać pistolet do ręki, wchodzi doń niespodzianie pani Tracy. — Połowę jej życia przeszło na usługach, drugą strawiła na intrygach i zbieraniu grosza dla swęj wnuczki Alicyi. Cała jęj ambicya od lat przeszło piętnastu, jest ożenić swą wnuczkę z Henrykiem. Okazyła dla nięj dosć korzystna. — Obietnica małżeństwa, podpisana własną ręką Henryka wraz z aktem wyznania

kradzieży, o którą tylko co miał sobie życie odbierać, jest ceną usługi, jaką pani Tracy oddaje Henrykowi, kładąc mu przed oczyma 10,000 funtów szterlingów, zapisanych Alicyi przez jój wuja z Salisbury. Pani Tracy wraca Henrykowi honor, ale ten wkłada na się kajdany, z których się już odtąd niczem okupić nie zdoła. — Bytność Henryka w Ellmsley przy boku Heleny niepokoi starą mamkę. Podczas kiedy przybywszy pokryjому do izby Henryka, wymawia mu wzrastającą miłość do Heleny, nieszczęśliwy wypadek śmierci Julii ma właśnie miejsce. Henryk i pani Tracy są tego świadkami i straszliwe słowa *Zabiła ją* wychodzą z ust starój mamki. — Jakkolwiek przekonana, że Helena z umysłu zabiła swą kuzynkę, przysięga przecież Henrykowi, że tajemnica ta z ust jój nigdy nie wyjdzie. Za tę tylko cenę Henryk ponawia raz jeszcze obietnicę wzięcia za żonę Alicję. — Dopełnienie téj obietnicy jest li tylko skutkiem pogardzonej jego miłości przez Helenę.

Takie jest w treści wyznanie Henryka. — Heleny tajemnica znajduje się więc w ręku trojga osób — Henryka, pani Tracy i Hardinga. — Miłość jój przecież do Edwarda coraz silniej się wzmaga. — Uniesienie zazdrości na widok długich rozmów Edwarda z Różą Moore, Irlandką, daje poznać temu cały ogrom przywiązania Heleny. To go przecież nie robi więcéj pewnym, bo ciągle obecność Henryka przy Helenie, zdaje się niszczyć same nawet dowody obojętności téjże dla dawnego towarzysza młodości. Na prośbę Edwarda, Pani Middleton jedzie z Heleną do pobliskiej Londynu wioski rodzinny Moore. Tam, kiedy Helena, trawiona żalem i rozpaczą i zazdrością przechadza się razu jednego po za obrębem parku, o uszy jój obija się okrzyk trwogi na zbliżanie się psa wielkiego. Jeszcze się obrócić nie zdążyła, kiedy zajadłe zwierze tuż prawie przy jój nogach. Ale w téj saméjże chwili ukazuje się Edward, chwytając silną dłoń psa rozjuszonego i jednym rzutem głowę mu o kamień roztrąca. — Helena przychodzi do siebie po dość długim omdleniu, spotyka trwożliwym okiem kilka kro-

pel krwi na ręce Edwarda, widzi na niej dość obszerną ranę i jakby nadludzką ozywioną siłą, niesie je do uszemprędzój, i, krew a zarazem i jad z rany wysysa „*Umrzemy przynajmniej razem*“ woła biedne dziewczę w uniesieniu rozpaczy na widok niebezpieczeństwa ukochanego Edwarda, — trawiona miłością, trawiona zgryzotą, co ją od lat tylu krok w krok ścigać nie przestaje. I oto namiętne wyznanie Heleny, opisanie walk, jakie miłość jej po nosiła — ale tajemnica niestety zawsze w głębi łona. Tak, i tu nawet, w tej tak wielkiej dla niej chwili, dusza jej nie uwalnia się jeszcze od ciężaru, co ją gniesć ma już koniecznie do samego zgonu. — Szczęśliwy Edward prosi o rękę Heleny, a ta, niepomna cierpień, niepomna nadewszystko stósunków z Henrykiem, zezwala na wszystko, bo lica kochanka blade jak śmierć sama, a straszliwa gorączka zapowiada długą, jeżeli nie niebezpieczną chorobę. Dni piętnaście walczy Edward z resztkami jadu, co się w nim jeszcze zostały. Helena tymczasem postrzega się po niewczasie, na jak słabym gruncie opiera się jej przyszłe szczęście. Wie biedna, że jakkolwiek przywiązanie ku niej Edwarda wielkie i rzeczywiste, to przecież jeden powiew zawiści — jeden pozór nieprawości, wyniszczyć zdoła to uczucie, którego pierwszą podstawą jest szacunek, i które bez szacunku istniećby żadną miarą nie mogło. — Henryk ulega tą razą prósbom Heleny: bo trzeba wiedzieć, że uczepiwszy się stóp kobiety, co go już dwa razy odparła, zmusza ją nareszcie znajmować się nim prawie wyłącznie, obraca na korzyść szalonej swój namiętności twogę duszy dwudziestoletniej i skrupuły duszy pełnej religii i zniewala ją piekielnemi przebiegi przywoływać go dzień po dzień jako obrońcę przeciw Tracy i Harding. Łzy go jej przecie wzruszyły, pozwala kochać Edwarda, i sam nawet dzień ślubu przyspiesza.

Tymczasem deputowany Hrabstwa, gdzie są włości rodziny Middleton, umiera nagle w Londynie, a Edward postanawia zająć jego miejsce nieodwłocznie. I oto nowy jeszcze powód trwogi Heleny. Ślub miał być w Lon-

dynie. Teraz musi być w Elmsley. Bo elekcya Edwarda tylko kilku dniami ma być przez ślub poprzedzoną. Tak więc grób Julii ma być świadkiem szczęścia téj, co jój swą ręką śmierć zadała. — Rodzina udaje się więc na wieś. Henryk zdaje się cały oddany zatrudnieniom wyboru Edwarda, ale to mu nie przeszkadza zajmować się ciągle Heleną, trawić ją i zabijać wolnym ale ciągłym ogniem swój gwałtownej namiętności. Nareszcie chwila ślubu nadchodzi. Helena postrzega czarno ubraną kobietę, udającą się powolnym i majestatycznym krokiem ku ławce, gdzieby ją Helena w czasie obrządku widzieć mogła. Kiedy kapłan się pyta, czy kto nie ma co zarzucić tylko tu co połączonej parze, Pani Tracy, bo to ona była, podnosi się, a wznosząc rękę ku niebu, zdaje się jakby o pomstę do tegoż wołała. Trzy dni później następuje dzień wyboru. Edward ma mieć mowę do swoich wyborców. Helena chce go słyszeć — chce uwielbiać ten głos mężki i prawy — co tylko w obronie cnoty i prawdy wznieść się do ludzi jest zdolnym — ale właśnie, kiedy uniesiona radością na żywą i namiętną mowę męża, oddaje się całemu szczęściu kobiety, co podziwia i czci przedmiot swojej miłości — głos jakiś ponury odzywa się w trybunach: *Za piękną mowa na męża zabójczyni siostry.* Helena mdleje — prowadzą ją jakby nieżywą do domu, gdzie zaledwie czule wyrazy Edwarda przytomność jój wracają. Ale nie tu koniec jój tortur. Służący przynosi list pod adresem Edwarda. Jeden rzut oka Heleny, daje jój postrzedz pismo Pani Tracy. Uchwycić go — podrzeć i w ogień wrzucić — jest to czyn jednego tchu prawie. Zdumiony Edward niemieje z gniewu. *Jest to od kobiety, co cię ubóstwia!* woła biedna Helena i raz jeszcze na rękę męża omdlewa.

Ale na próżno wszystkie starania Heleny — na próżnoby ukryć przed mężem i światem c kropną tajemnicę, co ją trawi i zinnemi razi ciosy, poniża się biedna kobieta do najdziwniejszych przebiegów, do kłamstw coraz więcej śmiałych i zgubnych. Na próżno ukrywa swe kroki, przekupuje służących, podsłuchuje rozmowy wszyst-

kich, przebiega słabszym coraz krokiem chwile udręczenia, życie podejść i zasadzek. Nieufność Edwarda wzmacnia się coraz bardziej. On milczy, badawczym ciągle okiem śledzi najmniejszy ruch swój żony — a ta tracąc głowę, wiąże się i gubi z każdym dniem niebezpieczniej. Któżby zresztą nie miał jój za występna? Helena płacze na osobności, zdrowie jój znika pomatu — Henryk dzień w dzień przy jój boku — często sam na sam, przybyły ukradkiem, tajemniczo, właśnie w chwili, kiedy mąż zajęty izbą lub interesami. Rozwiązanie tego smutnego dramatu szybko zbliżyć się zdaje. Nauczysz się z opowiadania Henryka oceniać prawdziwy charakter Eswurta, Helena przyjmuje go z pogardą — rani jego miłość własną, traktuje go jak złoczyńcę i śmiertelnego robi w nim sobie nieprzyjaciela. Harding przywiedziony do nędzy przyjmuje służbę u Eswurta, objawia mu część tajemnicy, a ten używa jój na dręczenie nieszczęśliwej kobiety. Edward już nie pojmuje Heleny. Trudno mu już znaleźć słów pociechy i przywiązania — bo to zatrutem jest już oddawna jadem zazdrości. Edward zachęca żonę do modlitwy — a ta w równej trwodze przed Bogiem, jak przed ludźmi pokazuje mu tylko wiersze o Bogu. „*Poezya nie religia, uczucie nie pobożność* — odpowiada jój zimno podejrziwy Edward.

Alicya w połogu. Edward tylko co mówił z Heleną o potrzebie skończenia raz na zawsze stosunków poufałości z Henrykiem, rozkazuje przecież żonie jechać odwiedzić Alicyą. Hez sprzeczności w tym nakazie. Jechać do Alicyi, jest to widzieć jój męża — z którym jój mówić nie wolno. Wybiera się tam przecież, przybywa przed dom Henryka — i podczas kiedy Alice znużona cierpieniem zasypia snem spokoju, Henryk wsiada prawie gwałtem do pojazdu Heleny i do parku na przechadzkę jechać poleca. Tu prośby, a raczej gorzkie wyrzuty Heleny, namiętne wyrazy miłości Henryka. Oboje w wzruszeniu — Helena we łzach — Henryk w gniewie i ogniu. W tem przejeżdża obok nich pan Eswurt i szyderczym ich wita uśmiechem. W godzinę potem

dowiaduje się Helena, że Edward, spotkawszy na ulicy jednego z swych przyjaciół, Sir Arden w towarzystwie tegoż samego Eswurta, zaprosił ich tegoż dnia na obiad. Helena na torturach, bo Eswurt już to żartami, już to zręcznym nasuwaniem przekąsów dręczy coraz bardziej Helenę i w końcu jakby z niechcenia uwiadamia Edwarda, że widział był dziś rano Helenę sam na sam z Henrykiem, całą we łzach i pomieszaniu. Twarz Edwarda bladej — Helena wychodzi do Salonu, a tam chwytając za wiązkę prześlicznych kamelii, w zapędzie gniewu liście im jeden po drugim obrywa. „*Piękna pani, instynkt zagłady zdaje się być dość silnym w jęj duszy*“ powiada jęj zwolna i dobitnie Eswurt. Helena widzi się zdradzoną, a puszczając cugle obrzuceniu i namiętnęj boleści, obarcza go słowami pogardy, wyrzuca mu jego podłość, pastwienie się nad biedną kobietą i tracąc coraz więcej przytomność — tłómaczy się niejako z zabójstwa. Edward zdziwiony szczególnym tym tokiem rozmowy — powiada jęj zimno, by sobie inny obrała przedmiot za cel swęj tak wzniosłęj improwizacyi. Helena traci siły — wybiega — spieszy do apteczki — i wypija dość silną dżę Laudanum. Trzy całe dni jest bez przytomności. Czwartego pokazuje jęj się Edward, zimny jak mur, objętnie pyta o zdrowie i donosi, że odebrawszy tylko co smutne wiadomości z Francyi o zdrowiu stryja — opuszcza Londyn w tęjże samęj prawie chwili. Nazajutrz przybywa Helenie list od Edwarda. Niewolno jęj otdąd widzieć się z Henrykiem. Przystąpienie tego zakazu ma ją pozbawić męża i honoru. Tu już nadmiar boleści zniewala Helenę do wyjawienia Edwardowi prawdy. Dni dziesięć zostaje zamknięta w swych pokojach. Przybycie Edwarda ma być dla nięj chwilą życia lub śmierci. Ale cóż — Helena zapomniała, jaka była siła namiętności Henryka. Rozkazy jęj zgwałcone i Henryk znajduje się dnia jednego w pokoju Heleny. Powiada jęj, że pani Tracy oburzona na widoczną jego miłość do Heleny, rozbiła mu szkatułkę, wynalazła w nięj listy Heleny pisane do Henryka i te Edwardowi podczas słabości żony taje-

mniezo posłała. Helena uzbrojona dzisiaj mocą swego silnego postanowienia, oświadcza Henrykowi, że Edward ma o wszystkim wiedzieć. Henryk odchodzi od siebie na tę straszliwą groźbę — a zapominając, co winien nieszczęściu tej kobiety, na której honor, jęki i śmierć samą się wziął, wyrzuca jej dzikiemi tony *umyślnie* zabójstwo Julii. Helena nie ma siły znieść z ust Henryka tak podłego wyrzutu — pada mu do nóg i jak winowajczyni o miłosierdzie go prosi. Drzwi się wtem otwierają, a wyraz pogardy Edwarda przykuwa do ziemi nieszczęśliwą kobietę. Kilka chwil jeszcze, a rozkaz własną Edwarda napisany ręką poleca jej opuścić raz na zawsze prógi jego mieszkania.

Póki jaka taka nadzieja pozostawała jeszcze Helenie ukrycia światu swój okropnej tajemnicy, a raczej zatrzymania pomimo tego serca Edwarda, póty jej dusza zdolną jeszcze była oprzeć się wszystkim na raz ciosom okropnego losu. Dziś nadziei już nie masz dla Heleny. Edward ją wypędził. Alice w łagodnym ale bolesnym liście wyrzuca jej wydarcie sobie serca Henryka, śmierć jego dziecięcia, a pani Tracy przeklina ją groźnemi słowami, jako zabójczynię Julii, jako złego ducha, co dwie rodziny zniszczeniu oddał na pastwę. Słabe siły Heleny znikają do reszty. Opuścić Londyn jest jej pierwszą potrzebą. Musi uciekać przed ludźmi i światem, ale gdzie się ma udać nieboga? — Wybiega na ulicę — wsiada do pierwszego dylizansu, zkąd ją potem w kilka godzin prawie martwą do oberży przynoszą, gdzieśmy ją po raz pierwszy widzieli pod czułą pieczęą pobożnego kapłana. Tu choroba piersiowa coraz groźniejsze robi postępy. Ni chwili jednej nie masz do stracenia. Czcigodny pasterz uwiadomiony rodzajem manuskryptu, jaki mu wręczyła umierająca Helena, o całym jej ubiegłym życiu, spieszy szukać tych, co niegdyś tak silnie, tak szczerze kochali Helenę. Nazajutrz zaraz po jej wyjeździe z Londynu, pani Middleton wróciła do Anglii, pochowawszy swego męża w Marsylii. Wszystkie jej zabiegi — wszystkie starania Henryka nie zdołały wynaleść miejsca

pobytu Heleny. Henryk waryjuje z boleści, a biedna jego siostra i nieszczęśliwa Alice jadą do Elmsley, by pielęgnować tę nieszczęsną ofiarę braku religii i gwałtownych namiętności. Jakaż nie była radość dwojga tych aniołów spokoju, dowiedzieć się, że Helena jeszcze żyje. Miłosierny kapłan spieszy potem do Edwarda, przekonywa go o niewinności Heleny, a gromadząc wszystkich przy łożu umierającej, cśladza ostatnie chwile jój zgonu widokiem tych, co ją kochali, a więcéj jeszcze nadzieją widzenia wkrótce Tego, co sam zdolny jest rozróżnić prawdę od fałszu — co choć nas skazuje tu na tym świecie na długi szereg łez i strapienia, to tylko dla tego, by nas tem więcéj w niebie ukochał — by nas ludzi tem więcéj przekonał, — że nasza ojczyzna nie tutaj, że gonić tu li tylko za szczęściem, za szczęściem marnem i znikomem, jest to zapomnieć wysokiego celu, na jaki stworzeni jesteśmy.

Ocenić dzieło Lady Fullerton słusznie i sprawiedliwie, jest rzecz arcy-trudna. — Wziąć je li jedynie tylko za plód sztuki, jest to nierozumieć ani jego dążności ani jego skutków. Z tego to przecieź stanowiska cenili je prawie wszyscy krytycy francuzcy. Jeden z nich, człowiek zkad inąd znakomity i prawdziwym talentem i niezaprzeczoną w literaturze zasługą, Pan Philarète Chasles, nie oszczędził zapewne ani pochwał ani zachęty dla nowéj Autorki. Cała jego przecieź krytyka wymierzona jest raczéj do pisarza jak do kobiety wielkiego świata, więcéj tyczy się romansisty wskazanego za kilkaset lub parę tysięcy złotych bawić *koniecznie* znudzonych próżniaków stolicy Anglii, jak do talentu, jak do wyższego umysłu wybranego oznaczyć światu wielką i szczytną zmianę, jaka ma dziś miejsce w wierze i religii wielkiego państwa. — Inna jest jeszcze przyczyna dla czego *Ellen Middleton* znalazła tak wiele surowego zdania u francuzkich pisarzy. Zdarzyło się komu widzieć w jakim salonie Europy nagromadzone piękności wszystkich jój krain? Rysy twarzy jak najpoprawniejsze, oko czarne lub błękitne, massa jak najpiękniejszych włosów — wyraz ust

i oczu zachwycający — kibić giętka i wysmukła, ręka jak utoczona, nóżka bogini, chód majestatyczny, wdzięk rozlany w każdym poruszeniu — wszystko to da się widzieć u Hiszpanek, Włoszek, Francuzek, Niemek i Greczynek. Niechże przecież Polka *się uda*, a niezawodnie palmę zwycięstwa otrzyma. Wdzięki jej pojedynczo rozbiierane nie ostoją się zapewne ścisłemu rozbiorowi. Będzie w niej przecież jakiś *urok*, jakiego nigdzie indziej nie znajdziesz. Taka Polka jeżeli ma w świecie współzawodniczkę, to mieć ją niezawodnie będzie i ma między córkami Albionu. — *Wielkie damy* tylkośmy w Anglii i w Polsce widzieli. Potrzeba tylko i tu i tam wziąć sobie za wzór, nie parodią Arystokracji — nie parodią dobrego wychowania, nie śmieszną pychę i nieznośne mizdrzenie się, ale godność, skromność, prostotę, zdrowy rozsądek, wielką duszę, większe jeszcze serce kobiety. Hiszpanka cię rozogni, Włoszka rozpali, Francuzka oczaruje, Niemka rozmarzy, Greczynka oniewładni: — tylko jedna Polka zdola cię uszlachetnić, zrobić wyższym i pojęciem i duszą, tylko jedna Angielka może obudzić uspione twe władze umysłowe, ożywić serce, zrobić godnym przeznaczenia, jeżeli jest w tobie jaka iskra świętego ognia wielkości. — Ale jak powiadam, kobieta ta musi być koniecznie wyższego rzędu. Bez uwłaczania innym narodom, bez rozciągania tego może za śmiałego zdania do ostatnich jego granic, nie waham się utrzymywać, że takich kobiet Polska i Anglia liczą najwięcej. Lady Fullerton jest nią pod każdym względem. Dzieło jej świadczy o tem jasno i dobitnie. Arystokratka i myślą i sercem, wychowaniem i pojęciem, jak każdy jej ruch musi być koniecznie arystokratycznym, w dalekim tego wyrazu znaczeniu, tak też i płód jej pióra nie mógł nie nosić na sobie tego piętna prawdziwej Arystokracji, jakie cechuje każdą niemal stronicę tego romansu. Że dążność ta, że ta zaleta w moich oczach, wada w oczach tysiąca, niepodobała się francuzkim krytykom, dziwić się temu byłoby niedorzeczna. — Towarzystwo dzisiejsze Francji jest demokratycznym, dążności

jego nie inne, wychowanie także same, sposób widzenia nie odmienny, system polityczny przesiąkły demokracją, wyobrażenia nacechowane nią silnie i namiętnie. Jakże więc żądać, aby dzieło, pod zupełnie różnemi napisane wpływy — znalazło u nich przychylnę przyjęcie, dzieło, którego oni ani pojąć już dzisiaj ani rozumieć nie mogą. Nie myślę ja tu bynajmniej ustanawiać porównań dwóch wielkich Systematów, jakie rządzą na dzisiaj dwoma pierwszemi narodami. Widoczna że jak jeden tak i drugi ma swoją wzniosłą i błahą, a co więcej, i szkodliwą stronę. — I jeden i drugi przyprowadzony do ostatnich granic jest złym, jeżeli nie niepodobnym do wykonania. — Nie masz prawdy na ostatnich krańcach myśli i zdań ludzkich. Umysł nasz nie po temu. Człowiek nie stworzony do ostateczności. Długo on błąkać się musi już to na prawo, już to na lewo, by trafił od czasu do czasu na prawdziwą ścieżkę.

Jednym z głównych zarzutów krytyki francuzkiej — jest to, że Lady Fullerton oddając się cała skresleniu charakterów wziętych z codziennego jój życia — z jój własnej sfery wielkiego świata, daleko i daleko bardzo zostawiła po za niemi charaktery niższej klasy. I tak — pani Tracy — jój wnuczka Alice — jój kuzyn Harding i jego towarzyszy nie mają nosić na sobie żadnego odcienia interessu i wielkości. Lady Fullerton, powiada pan Philarète Chasles, jeżeli ich nie obciąża występkiem, zlemi uczuciami — jak to ma miejsce z starą mamką i jój kuzynem — jest przynajmniej zupełnie obojętną na charakter Alicyi — bo ta, dodaje dalej francuzki krytyk — *jest córką ludu, niegodną przeto pańskiego wzroku wielkiej damy*. Tych słów kilka daje mi poznać, że wyobrażenia pana Chasles o wielkiej damie są zupełnie fałszywe. *On n'est grande dame qu' à la condition de se sentir assez supérieur pour ne craindre aucune comparaison — pour ne redouter aucun examen!* Słowa te pani de Staël są podług mnie godne uwagi rozsądnego człowieka. Następstwem ich musi być koniecznie wzorowa dobroć — wzorowa grzeczność i wielkość duszy bez granic. Pani Ful-

lerton posiada te zalety. — Jeżeli charakter Alicyi nie tyle wyraźny, co Heleny — to dla tego, że tu nie Alicyi dusza na widoku, nie Alicyi serce pod nożykiem rozbioru. By oddać tem widoczniej myśl, jaka ożywiała Lady Fullerton w pisaniu jęj romansu — charakter Heleny musiał być jedynym. Wszystko inne obok nięj musiało być koniecznie w drugim postawione rzędzie. Pomimo to przecież niepodobna żywszemi oddać kolorami jasną błądź Alicyi — jęj niewinną i prostą pobożność — jęj bierne opieranie się grzecznej pogardzie człowieka *rasy*. Niepodobna wydać dobitniej małżeństwa bez sympatii Henryka z Alicyą, ich domową strzechę bez ożywiającego płomienia miłości, zziębione popioły, ich życie bez iskry, dwa te trupy jeden względem drugiego połączone przecież razem — dwóch tych katów jednym związanym łańcuchem, by się wzajemnie trapić, dręczyć i gubić. Podstawa cała romansu, tak wyrokuje francuzki krytyk, jest błądą i niepodobną do prawdy. Dla niego zapewne. Przyzwyczajeni czyli raczej nieodzyczajeni jeszcze od szczytnęj filozofii 18. wieku, — widzieć duszę kobiety trawioną wewnątrzniemi zgryzoty — widzieć podobną walkę instynktu z rozumem, serca z umysłem — jest to dla wielkięj części Francuzów, coś niepodobnego do uwierzenia, coś nie istniejącego w codziennem, praktycznem naszym życiu. Dla nas jest to arcy-podobnem, arcy-prawdziwem. Bez wkradania się w wewnętrzne życie Lady Fullerton, które być powinno niedotykalnem dla publiczności — dla świata, szczególnięj zaś dla krytyki — wolno nam przecież przypuścić, że wielka ta część okropnych cierpień, jakie autorka tak szczytnie nam skreśliła, nie była jęj zapewne obcą. Tylko ten oddać tak świetnie potrafi cierpienia, co ich smutną przeszedł koleję. O walce, jaka musiała mieć miejsce w jęj własnej duszy, walce zimnego protestantyzmu z zasadami pocieszającej katolickięj wiary — wątpić nam nie wolno. Dowodem tego przejście, miesiąc temu kilka, Lady Fullerton na łono prawdziwego kościoła. Lat już cztery minęło — a krytyka nie miała nic do zapisania, coby było wyszło z pod pióra

Lady Georgiany. Dziwić się temu nie należy. Nie była to nowa autorka, pragnąca świetne sobie pozyskać w literaturze imię: była to li tylko kobieta — co trawiona *wątpieniem*, co przekonana o braku czegoś, bez czego jój serce, jój dusza obejść się nie mogły, co widząc to *zwątpienie* wszędzie już i zawsze — w każdój już klasie społeczeństwa swego narodu — uczuła się być wyższą powołana wolą do wyrażenia, ocenienia i oznaczenia tego *zwątpienia*, do wskazania tego, co było dotąd niewyraźnym — i do zapewnienia tem samym spokoju i szczęścia tam, gdzie do dziś dnia ani jednego — ani drugiego nie było. Z tego uważane stanowiska, dzieło Lady Fullerton jest podług mnie bez zarzutu. Co do saméj sztuki — piękności niezaprzeczonych wiele. Charaktery osób mistrzowską skreśloną ręką. Prawda, że obok Heleny, wszystkie inne osoby są tylko trafne i wyborne szkice; nie przecież nie brakuje, — by mieć o nich doskonałe pojęcie. Charakter Henryka szczególniej nie do życzenia nie pozostawia. Jest to obraz zupełny — młodego szaleńca — ofiary namiętności, braku nawet serca — choć mającego jego wszystkie pozory. Edward jest to *Anglik* w całym wyrazu tego znaczeniu. Anglik prawy — surowy — poważny — ale Anglik protestant — a raczój kalwin lub kwaker. Odcień pani Tracy daje się widzieć w Anglii za każdym niemal krokiem. Niższe klasy społeczeństwa mają takich kobiet niestety aż za wiele. Jeden tylko zrobiłbym zarzut dziełu Lady Fullerton. Charakter jój ciotki, pani Middleton jest albo niezupełnym, albo fałszywym. Trudno mi wierzyć, by serce kochającej kobiety, jaką nam Lady Fullerton żywemi nadzwyczaj kolorami przedstawia w pani Middleton, mogło pozostać niemem na widok cierpień tak okropnych, jakich była pastwą jój *ukochana* siostrzenica Helena. Mówię na *widok*, bo serce kobiety nie potrzebuje słów, nie potrzebuje wyznań. Ma ono dość siły, dość mocy, by odgadnąć cierpienie i by spieszyć na ratunek stroskanéj duszy. Miłość pani Middleton jest tu raczój bierną. Autorka odmawia więc ciotce albo serca, albo wyższego umy-

słu. Mamy przecież dowody tego ostatniego, w rodzaju wychowania, jakie daje ciotka Helenie w pierwszych latach jęj młodości. Jest to sprzeczność, jakiej mi trudno sobie wytłómaczyć. Ale, jak to już nadmienilem, Lady Fullerton, jedną li tylko zajęta myślą — nie dziwnego, że spuściła z oczu to, czego by była zapewne nie przepomniała, pisząc swe dzieło, jako autorka, pisząc je dla sławy lub dla pieniędzy.

Być może, że w chwili kiedy donoszę naszym czytelnikom o tym nowym płodzie literatury angielskiej, *Ellen Middleton* jest już przetłómaczoną na język polski. Niech mi wolno będzie wskazać niektóre ustępy, jakie zasługują na szczególną bacność czytelnika. — Są one dziwnie piękne, — tem piękniejsze dla niektórych z nas, że nam przypominają w całym też rozrzewnieniu, domową strzechę — drewnianą wieżę naszych wieśniaczych kościołów — błogi szmer naszych polskich lasów — gdzie ubiegła nasza młodość — gdzie kości przecież nie jednego z nas leżeć zapewne nie będą. Życie domowe Anglii nie inne jest jak życie domowe Polski. Są to chwile spędzone na wsi, w domowym gronie — w zaciszu, zdala od wrzawy miast i ich zgiełku. — To też wiele, wiele bardzo płodów literatury angielskiej dałoby się przenieść całkiem na polskie niziny. Szczególniej też powieści kobiet.

Początek zaraz sam romansu Lady Fullerton jest pełen poezji — smętny i trafnie czarująco oddany: daje się tu widzieć zgromadzone około łóżka umierającej nieznajomej, wszystko to, co jest ciekawem, cały szlachetny i uczciwy udział wioski w cierpieniach nieszczęśliwej, a pastor protestancki niosący jęj słowa pociechy i nadziei. Lekki jakiś obłoczek mistycyzmu nieoznaczonego rozczuła widza przy tym wstępie; obrządki surowej religii dopełnione w izbie chorój, przez wyrobnicę wioski i biedną jedną podeszłą kobietę — obie na kolanach — mają w sobie coś tkliwego, jak widok łez zraszających pooraną twarz pod wąsem starego żołnierza. Jestto Kalwinizm, co się miękczy i sprężystość swą traci, co pociesza i

przebacza — już to nie to straszliwe prawo stanu, co skazało na śmierć piękną Maryą Stuart, mieszczańską ta surowość obyczajów, co przyprawiła o zgon tkliwą Clarisse Harlowe. Nie, jest to już coś więcej rozrzewniającego, pewien rodzaj marzenia, powiedziałbyś tajemniczy cień, zarys Katolicyzmu, co się wkrada powoli ale na pewno do tej surowej i twardej religii: łązy płyną — żal i skrucha pocieszone, bodziec udręczenia tępieje. Pastor protestancki staje się niejako spowiednikiem; ludzka słabość przemówiła głośniejsz jak człowieka duma; krok jeszcze jeden naprzód, a będziemy mieli kłęby dymu święconego kadzidła; obrazy świętych, co płaczą lub uśmiechem serce twe nadzieją napełniają; processye w okazałych szatach, przy odgłosie harmonijnych śpiewów; — blade i smętne światło gotyckich szyb i okien; uroczystą elegią organów, odbijającą się o wzniosłe sklepienia majestatycznej jakiejś średniego wieku katedry. — Prawda że misticzm gra tu większą rolę, jak w utworach skreślonych pod wyłącznym wpływem czystego katolicyzmu — wzruszenie trąci tu daleko więcej metafizyką. Jeszcze to protestantyzm, co otacza swemi skrzydły i łoże kona-jącej i domowy trzon i rodzinę całą. Nie widać tu jeszcze w całej jej mocy, potężnej katolickiej wiary co wiąże i rozwiązuje, co razi jakby siłą piorunu lub wydobywa żal i skruchę z głębi saméjże przepaści: ale też nie jest to już ten straszliwy dogmat nieugiętego Knox, co przechodząc w przedpokoju skazanej na śmierć Maryi Stuart, woła na zgromadzone tamże piękności „*precz trupy!* perły i kamienie, co wam błyszczą na szyi, przeżyją i was i wasze wnuki.“

Szczególnego rodzaju siły jest ustęp, gdzie Helena zagrożona w mieszkaniu pani Brandon i ponowionemi groźbami dwóch bandytów, co byli spotkali w lesie Rozę Moore Irlandkę, i gwałtownem wymawianiem gwałtowniejszych jeszcze namiętności Henryka, postanawia nakoniec ulżyć swój duszkiej wyznaniem tajemnicy przed czcigodnym kapłanem pobliskiego kościoła. Było to wieczorem — Helena już na cmentarzu — uwiadomiony pastor spie-

szy na jój spotkanie. Natura cała, jakby wszystkie swe wyteżyła siły, by swym majestatem — zachęcić biedną latorośl do nowego życia — otacza Helenę całym urokiem wiosennego zachodzącego słońca. Czytelnik zdaje się przekonany — że ten rodzaj spowiedzi jest tu już nieochybnym — tak autorka zdołała przelać w jego duszę to silne postanowienie nieszczęsnej ofiary fałszywego wstydu i pychy. Helena już prawie klęczy u stóp bożego sługi — rześiste łzy rosą jój bladą twarz, a skrucha przebijają się w każdym niemal ruchu poruszonych muszkułów. Ale nie — zły duch raz jeszcze odnosi zwycięstwo. Woreczek napełniony złotem wystarcza za całą spowiedź — a zdumiony pastor ma myśleć odtąd o wsparciu nieszczęśliwych, co jego materyjalnej pomocy wzywają kiedyś mogą.

Konanie młodej kobiety od chwili, kiedy jój wręczono ostatni bilecik Edwarda, na który nawet niewolno już jój było ni jednego odpowiedzieć słowa, rozrzewnia do łez i napełnia niewypowiedzianą tęsknotą serce czytelnika. Tysiąc drobnych rzutów są tu doskonałością bez zarzutu — całość nosi na sobie piętno niezrównanej prostoty i wielkości. „Nie omdlałam, woła Helena, nie opuściłam ni jednej łzy nawet, okropny ciężar tłoczył moje członki — wstrzymywał oddech i życie; źródło łez było przebrane — sama tylko dusza zdołała jęczyć i krwawić się. Nie czekałam już na nic, byłam bez nadziei. Nie śmiałam stapać, i jednego nawet zrobić kroku. Oczy moje te tylko miały przed sobą wyrazy: *precz z mego domu na zawsze, nigdy cię już widzieć nie będę*. Zrobić krok jeden — było to opuścić Edwarda na zawsze. Opuścić go — aleć to być nie mogło. To nieprawda. Upadłam na kolana, chciałam się modlić do Boga — potem wstałam jak szalona, dotknęłam ręką mego czoła. Zgubiłam gdzieś była rękawiczki. Otwieram więc szufladę, by dostać innych. Jedną tylko znalazłam parę — którą Edward kazał mi być schować, nie lubiąc ich koloru. To, czego nie zrobił jego krótki i szydery list, czego nie zrobiło tysiąc nowych i coraz nowszych boleści ostatnich

chwila, działo tu dziecinne i nędzne zdarzenie. Zapłakałam gorzko — a ciężar, co mi tłoczył biedną moją głowę, zmniejszył się przecież nieco. Przebiegłam szybkimi krokami przedpokój. Oddźwierny mnie zapytał, czy Jan ma iść za panią? Kiwnęłam głową, że nie, i rzuciłam się we drzwi. Ale wracam, nim się drzwi jeszcze zamknęły i wołam, że za godzinę będę w domu. Dla czegoż to wyrzekłam? Przyzwyczajenie jest naturą — serce człowieka słabe. Nie chciałam wyznać samą nawet sobie, że opuszczałam te progi na zawsze. Przebiegać ulice przepełnione ludźmi z nieukojoną boleścią w sercu, z dotkliwym zawrotem w głowie, potracać istoty szczęśliwe, obojętne na cierpienia drugih, lub zajęte myślą sprawy jakiej, lub majątku — zadawać sobie ciągle jedno i toż samo pytanie, pytanie bez rozwiązania, nieskończone, na które nie masz odpowiedzi, chyba w nieokreślonym uczuciu trwogi i udręczenia; spotykać wzrok zimnej obojętności lub grzeczny ukłon znajomych, podczas kiedy mózg się kraje, a serce pęka z boleści, któż to wszystko kiedy w życiu poniósł i wytrzymał? Ja! ja! przecierpiałam to wszystko. Marzenia najokropniejszej gorączki niezdolne utworzyć coś straszliwszego — coś więcej przywodzącego na pamięć śmierć i wieczną zagładę. Biegłam szybko. Kamienie tylko bruku zdawały się rozciągać nieskończenie pod moimi stopy, a wszystkie pojazdy unosić daleko mojego męża, mojego Edwarda. Na zakręcie jednej ulicy zdało mi się widzieć twarz jego i rysy. Wydałam okrzyk trwogi i żalu i rzuciłam się prawie pod konie. Przytomni spojrzeli na mnie wzrokiem zadziwienia, z pojazdu ukazał się moim oczom szyderczy uśmiech pana Eswurt. Jego ukłon przykuł mię martwą do ziemi.“

Nie mogę lepiej zakończyć mego zdania sprawy, jak przytaczając, słowo w słowo, ostatnie wyrazy dzieła Lady Fullerton. „Pani Middleton i biedna Alice, ta po dłuższej i morderczej o życie walce, tamta na ostatnim już jego krańcu, nauczyły się obie, że szczęście nie jest udziałem ziemi; to też obie wyglądały go odtąd po za

grobem. Tym czasem chwila po chwili przekonywały się razem i jednomyślnie, że każdy nadchodzący dzień nie jest zupełnie bez pociechy. Że i najwięcej stroskanemu rozpaczać przecie nie wolno, *bo mu zostaje wspomnienie uszłych niebezpieczeństw, przeczucie win odpuszczonych, myśl słodka o Bogu i nadzieja spokoju po za grobem.*“

„Of perils past, of sins forgiven
Of thoughts of God, and hopes of Heaven.“

Wiadomości bieżące.

Smutną czytelnikom naszym ogłaszamy wiadomość. Stefan Witwicki umarł w Rzymie dnia 19. Kwietnia, po kilku latach dolegliwych cierpień, które z prawdziwie chrześcijańską cierpliwością znosił. Ocenienie jego zasług zostawiamy jednemu z najbliższych przyjaciół, który nam wkrótce rys zupełny życia nieboszczyka nadeszle. Dzisiaj poprzestaniemy na przytoczeniu wydatniejszych w zawodzie zasłużonego pisarza szczegółów. Urodził się na początku wieku obecnego w Krzemieńcu, gdzie ojciec jego był professorem. Stracił ojca w pierwszej młodości i wychowanie pod dozorem jednego z jego kolegów i przyjaciół odebrał. Pracowitością i statkiem już wtedy się odznaczał. Po ukończeniu nauk udał się do Warszawy i wszedł do Kommissyi Oświecenia. W szranki literackie wstąpił Witwicki w chwili walki między romantycznością a klasycyzacją i obrał kierunek romantyczny. Przed r. 1825. wydał zbiór *Ballad*, nieco później fantazją *Edmund*. Żył w ówczas w ścisłych stosunkach z Michałem Grabowskim i Bohdanem Zaleskim i uznawał umysłowe zwierzchnictwo Brodzińskiego. *Ballady* i *Edmund* były to słabe utwory, więcej chorobliwej fantazyi, jak natchnienia pokazujące; wszakże zapewniły nie małą wartość autorowi. Wziętość ta nie skrzywiła szlachetnego umysłu i uczciwego serca Witwickiego, nieprzestał on dążyć wyżej, szukać czystszej sfery. Już przed rokiem 1830. umysł jego zwrócił się do religii. W r. 1832. oddalił się za granicę i osiadł w Paryżu. Z Paryża zaczął walkę silną i nieustającą z cudzoziemczyzną a szczególnie z francuzczyzną w Polsce.

Miał za sobą słusność, miał zdrowy rozsądek, więc choć nie raz uniósł się za mocnym gniewem, choć drażliwość swoich przekonań do ostatnich następstw posunął, nikt nie śmiał o przesadę go oskarżać i mało książek zrobiło więcej a razem płodniejszego wrażenia, jak *Wieczory Pielgrzyma*, które najtrwalszym pomnikiem wartości moralnej i umysłowej Witwickiego pozostaną. W Paryżu także wydał Witwicki *Poezye biblijne* i *Piosnki Sielskie*. Te ostatnie powtarzane są w całej Polsce, a wdzięk mowy i rzewność uczucia, jakie je znamionują, natchnęła już niejeden znamienity utwór muzyczny. Ściasta przyjaźń łączyła w Paryżu Witwickiego z Mickiewiczem i z Bohdanem Zaleskim, wszyscy trzej gorąco nad podniesieniem zapału religijnego w Polsce przemysłiwali. Witwicki wiele się krzątał na téj drodze, wpływał przykładem zacnego, godnego i pracowitego życia; pisał, mówił, zadnego szlachetnego a możebnego usiłowania nie przemijał. On to wydał doskonałą książkę do nabożeństwa, dziś będącą w rękach wszystkich, pod tyt. *Oltarzyk*, i drugą, równie szacowną: *Podarek ślubny*. Pokrewienstwo wyobrażeń zbliżyło Witwickiego z Bohdanem Jańskim, człowiekiem cichych a wielkich zasług, którego imie będzie kiedyś z największą czcią wspominane. Prawość charakteru Witwickiego powszechnie pobudzała zaufanie; jemu wiele bezimiennych autorów powierzało wydawanie pism swoich; tak został wydawcą *Poselstwa z Ziemi Ucisku*, i *Pamiętek Sopoticy*, dwóch dzieł wielkiej wartości. Ostatnie lata życia swojego na pasowaniu się z chorobą przepędził, nie brakło mu i ciężkich serca boleści. Napisał przeciw Towiańszczyźnie broszurkę, w której znać, ile go ta cała rzecz wewnętrznie poruszała. Stratę Klementyny Hoffmanowej, swojej wieloletniej przyjaciółki, uczuł bardzo żywo. Od lat trzech przemysliwał o wstąpieniu w stan duchowny; chciał tylko pierwój zdrowia nieco odzyskać. W tym celu udał się do Gräfenberga. Rok temu pozwolił mu Pan Bóg powietrzem oczyszczym odetchnąć. Krótki pobyt na ziemi rodzinnej napełnił go pociechą i uczuciem zaufania w przyszłości. Całą ostatnią zimę przesiedział w Rzymie, gotując się jakoby wśród pamiętek świętych na ostatnią, na niepowrotną podróż. Wszystkie pociechy religijne, pokój i wzmocnienie w chwili rozstania mu przyniosły. Już w tem życiu nagrodził Pan Bóg swojego wiernego sługę. Ostatnie słowa Witwickiego były: „Jedność, zgoda, miłość, błogosławieństwo między wami.“ Polacy przytomni w Rzymie z płaczem ciało nieboszczyka na barkach przenieśli do kościoła, zład na cmentarz Św. Wawrzyńca odprowadzili i pogrzebali go obok Bohdana Jańskiego, w miejscu, które odtąd na miejsce spoczynku dla

Polaków przeznaczonem zostanie. W kilka dni później nowy grób obok grobu Witwickiego przybył. Zasłużony Jenerał Klicki, przyjaciel jego w ostatnich czasach, w 86 roku życia, położył się obok niego na zawsze. Szczególne losy pamięć wojowników polskich z pamięcią polskich wieszczów łączą i nie jednego zastanowią bratnie groby Brodzińskiego i Wojczyńskiego, Niemcewicza i Kniazewicza, Witwickiego i Klickiego.

W pozostałych papierach w Rzymie znajdują się dwie powiastki moralne, przygotowane do druku i kilka prac ulotnych. Co zaś mieszczą papiery pozostałe w Paryżu, dotychczas niewiadomo.

Czechia i Czechowie

przy końcu pierwszej połowy XIX. stulecia

przez EDMUNDA CHOJECKIEGO.

Tom I. Berlin. F. Schneider i Spółka 1847. Stron 246.

W ciągu regularnych w Piśmie naszym sprawozdań o ważniejszych płodach bieżącej literatury tak krajowej jak zagranicznej, miło nam zwrócić uwagę Czytelników na dzieło powyższe, wyszłe z pióra Rodaka naszego, który, ile nam wiadomo, marnotrawiąc przez dłuższy czas niepospolity dowcip i przyrodzony talent pisarski na drobne fraszki, nieprzystojne parodie, dwuznaczne powiastki, po części w piśmie czasowych wierszem i prozą umieszczane, pierwszy raz przed dwoma laty wystąpił z poważniejszą, chociaż także dorywczo tylko spisana pracą „Podróż do Krymu“ na widok publiczny. Cieszymy się, że powaga ta z dojrzałym wiekiem i doświadczeniem wzrosła i zmężniała w umyśle i w sercu, i zapewniła nam jednego pisarza więcej, na którego dalsze rozwinięcie i wykształcenie, jako i na kierunek, który weźmie w skutek obecnego pobytu swego za granicą i pod wpływem różnolitej oświaty zachodniej, z przyjacielskim udziałem i niepłonną nadzieją, chociaż nie bez obawy, poglądamy. Powoduje nas do tych poprzednich uwag dzieło, które mamy przed sobą. Pierwsza ta praca w polskim języku tej treści, na uwagę naszą tém więcej zasługująca, że ma za cel przedstawić nam żywot umysłowy narodu pobratymczego, który rodem, językiem, historią, literaturą, zwyczajami i obyczajami, wiarą i nadzieją, ze wszyst-

kich plemion słowiańskich do naszego najwięcej zawsze był i jest podziśdzien zbliżonym. Wzgląd ten dostatecznym jest dla nas, abyśmy zaraz na wstępie wdzięczność naszą Autorowi za jego pracę oświadczyli. Wszakże i niniejsze dzieło winniśmy więcej przypadkowi, aniżeli umyślnemu przedsięwzięciu. Niepowstało ono ani z zgłębienia przyczyn dopiero co wspomnianego pokrewieństwa plemion czeskiego i polskiego, ani z powodu silniej obudzonego, Autorowi także udzielającego się współczucia między narodowościami słowiańskimi, ani wreszcie przyszło na świat w skutku poprzednich studiów, badań i prac Autora na obszernym i trudnym, bo wielkimi przestrzeniami odłogiem dotąd leżącym połu piśmiennictwa słowiańskiego w szczególe i w ogóle. Pan Chojecki poprostu wyjechawszy przed parą laty z Warszawy za granicę, drogami żelaznymi, o których wielkiem znaczeniu i wpływie na tegoczesną oświatę najprzód się w Przedmowie do dzieła swego rozwodzi, dostał się do Czech i do Pragi, zabawił tam rok czy pół roku, zetknął się osobicie z pierwszymi i poślednimi koryfeuszami literatury czeskiej tegoczesnej, przeczytał co mógł i ile mógł, przeczytał wszakże wiele, starał się poznać stosunki, środki, stanowisko, charakter obecnego umysłowego ruchu w miejscu samém, a jako duch żywy, pojętny, przenikliwy, przytém jako Polak w myśli narodowej, namiętnie i poetycznie usposobiony, dostrzegł od razu z samego oblicza ludu i ziemi tragicznego wątku narodowego żywota Czechów, przeciągającego się jeszcze poza grobem udzielnosci politycznej, zebrał ogniwa myśli w jeden łańcuch wiążący przeszłość z terażniejszością, wyciągnął wniosek na przyszłość, nareszcie, skory równie w pomysle jak w wykonaniu, skreślił jakby jednym zamachem pióra całe dzieje politycznego i literackiego rozwoju ducha narodu czeskiego, i — książka gotowa — wyszła w pierwszej części na świat, pod niepewną i językowi naszemu niewłaściwą nazwą „Czechia i Czechowie“, oczekując sądu publiczności w przedmiocie dla niej nowym i do oceny łatwym.

Niemamy wcale na myśli przez to, cośmy tu dopiero powiedzieli, uprzedzać zaraz na wstępie zdanie Czytelnika przeciwko pracy Pana Chojeckiego. Ale, chcąc być szczerym i otwartym, niemożemy przemilczeć, żeśmy ją wzięli do ręki z pewnym zadziwieniem i nieufnością. Dzieła tak poważnej treści nie pisze się dorywczo, przypadkiem, i jakby na stacyi podróźnej. Znaliśmy zdolności i przeświadczenie o nich osobiste Autora. Ale mieliśmy także i mniemamy, że aby podobne zadanie, jakie sobie Autor położył, godnie rozwiązać, potrzeba innych przygotowań i zasobów, aniżeli

te, których okoliczności podróży dostarczą. Czuł to dobrze sam Autor, gdy większą część uchybień, jakieby się w dziele jego znaleźć mogły, złożył na karb utrudzeń i niegościnnosci, jakich każdy podróżnik w podobnym celu doznaje. Ależ Pan Chojecki nie miał przecież na myśli pisać dziennika podróży swojej; owszem zamierzył sobie, jak to już z samej przedmowy widzimy, skreślić dzieje rodzaju ducha i piśmiennictwa całego narodu. W takim razie poważny i powołanie swe pojmujący pisarz, dzieła swego, zdaniem naszym, od powyższych trudności i przeszkód zawisłóm czynić nie powinien, inaczej praca jego należeć będzie do tych pośrednich utworów, które nie chcąc być tém, czémby właściwiej być mogły, i niebędąc także tém, czém być zamierzają, zajmują w literaturze stanowisko neutralne, i, jakkolwiek w układzie obszernie, noszą na sobie piętno broszur, przyczyniając się częstokroć przez samą naturę swoją równie we względzie treści jak formy bardzo silnie do rozświecenia i rozpowszerechnienia kwestyi z łona czasu żywotnie się wyrывających.

Takie wrażenie po pierwszym powierzchownym przejrzaniu wywarło na nas dzieło Pana Chojeckiego. Takie znaczenie chciał mu też może nadać sam autor, ochrzciwszy je imieniem, pod jakim się mniej więcej wszystko, co się kraju pewnego tyczy, pomieścić da; przynajmniej nie uważał go autor za pracę ściśle historyczną, ale tylko jako zachęcenie rodaków do przypatrzenia się bliżej zajmującemu krajowi, który nam opisać przedsięwziął. Zachęcenie to nie będzie bezskuteczne, bo jesteśmy pewni, że praca P. Chojeckiego od współrodaków jego mile przyjętą i powszechnie czytana będzie. Wyznać bowiem z czystem sumieniem winniśmy, że po uważniejszym przeczytaniu i ściślejszem roztrząśnieniu dzieła, pierwsze nasze wrażenie znacznie osłabło i z prawdziwym zadowoleniem szliśmy za ciągiem myśli, któremi autor związał w jedną całość rozbite tragicznymi katastrofami członki historycznego życia wielkiego narodu. Jeżeli ta, aby ją tak nazwać, filozoficzna strona dzieła główną jest jego zaletą, to materialna wiele pozostawia do życzenia. Autor nie miał dość cierpliwości, a niezawodnie i czasu, aby poruszył i strawił wszystkie materiały, któregooby był mógł i być powinien użyć do odziania przewodniczącej myśli we wszystkich jej kierunkach w odpowiednie, silne i żywotne ciało. Raz pojawiwszy historyczny wątek życia narodu czeskiego w przeszłości, wziął się czem prędzej do pracy, pisał widocznie z pospiechem i dopiero, gdy do nowszych przeszedł czasów, zwolnił i pilniejszym okiem oglądać i opisywać zaczął rozkwitujący krzew dwa blisko wieki w zwiędnięciu wegetującej narodowości.

Praca dotąd nieskończona. Z części, którą mamy przed sobą, nie chcemy czynić domysłów o następnej, a nieznając téjże, nie możemy z pewnością oświadczyć się z zdaniem naszym o wartości pierwszej. Nadto, gdy autor sam w przedmowie oświadcza, że większość kwestyi żywoitnych, w dziele rozwiniętych, łatwiejszą będzie do przyjęcia, gdy o działaniu ducha w szczególności przy rozbiorze historyi czeskiej Palackiego będzie mowa, co w drugiej części dzieła ma nastąpić, słuszność wymaga, abyśmy szczegółowy rozbiór i sąd nasz ostateczny o pracy autora do zupełnego jój ukończenia wstrzymali.

Kończymy na tem ogólne nasze i tymczasowe uwagi. Aby zaś dać czytelnikowi, chociaż tylko w oddaleniu, z jakiego stanowiska autor na pracę swoją pogląda, przytaczamy tu w dosłownych wyjątkach główną treść przedmowy, które zarazem posłużą mogą za próbę stylu autora.

„Krajem, przez który cała północ dąży na zachód, zwłaszcza gdy Kraków zostanie połączony koleją żelazną z Pragą, jest Czechia. Naród ten jednoszczepny z nami przeszłością dziejów pokrewnych, dotąd znany jest po większej części jako ojczyzna wód uzdrowiających lub szklanych wyrobów. Czyliż dla tego zwracano nań tak małą uwagę, że uległ pod krzemieniem ciężkich losów? czy nawał spraw własnych lub co gorsza indyferentyzm były tego przyczyną? Nie — po prostu uważano Czechią za trupa politycznego, za kupę popiołu, w której ostatnia iskra samodzielności dawno już była wygasła. Tak przyzwyczajono się zapatrywać na najpierw ochrzczone słowiańskie plemię, a choć po dwuwiekowym letargu mniemany trup począł dawać oznaki życia; choć mdlejący na siłach wyzwał do walki germańskiego olbrzyma, więcej zatrudniano się Druzami i Maronitami, podbiciem Chin lub wyspiarzami Taiti, aniżeli tym krajem, który przez samo swoje geograficzne położenie stanowi serce całej Europy.“

Następnie autor, dotknawszy w krótkich i dobitnych wyrazach téjże materialnej i duchowej walki, którą szczep germański od wieków toczył i toczy dotąd na ziemi czeskiej ze szczepem słowiańskim — tak dalej charakter jój skreśla:

„Cztery dziesiątki lat mija, jak Czechowie, pochowawszy przed dwoma wiekami pod Białą Górą zniszczony byt polityczny, poczęli dawać pierwsze oznaki budzenia się z letargu. I któż pierwszy rozdmuchał tę słabą iskierkę i z jakiej narodowości?... Kto gromkim głosem wezwał naród do pracy, i zażegł w nim miłość do ozywienia kojącego ojczystego języka?... Nie był to ani żaden agitator, ani repcalista, ani człowiek łączący pieniądze z odwiecznym tytułem, jedyne dwa warunki, pod któremi można wywierać w Austrii jakikolwiek wpływ, ani nawet żaden geniusz nabierający nowych sił w pokonywaniu zawał, ale po prostu kilku biednych uczonych, prawdziwych pro-

letaryszów nauki, którzy w zakopconej izdebce poddasza powzięli śmiałą myśl przerwania gnuśnego snu rodaków, rozognienia ich ducha wspomnieniami świetnych praocjowskich czynów i przywrócenia blasku mowie czeskiej, szerniałej przez tak długie nieużywanie. Za całą pomoc do wykonania zamiaru tak niepodobnego na pierwszy rzut oka mieli: głęboką miłość ziemi rodzinnej, niewzruszoną wolę i ofiarowanie pracy całego życia za pomyślność świętej sprawy.“

„Kwestya szła o to, aby ten język umarły, wyrugowany ze szkół, ambon, biór, słowem daleko więcej wyrzucony z żywota powszechnego niż łacina i greczyzna, wskrzesić, wyrazić w nim literaturę, doścignąć w wykształceniu filologicznem inne żyjące języki, nakoniec wprowadzić w towarzystwo i codzienne użycie, a to tak, iżby pierwsze dźwięki, objające się o uszy dziecięcia, były czeskie, a cudzoziemiec przybywszy do Pragi, iżby mógł poznać z łatwością, że się nie znajduje w mieście czysto niemieckiem.“

Gdy ani szlachta, ani mieszczaństwo myśli się tej nie ujęły —

„Jedynym stanem, mówi Autor dalej, stanem, który dotąd religijnie, lubo nie wszędzie, przechowywał mowę czeską, był lud. Postanowiono zatem naprzód działać na te umysły najmniej skazone, tam szukać odgłosu dla świętych słów prawdy, i następnie przeprowadzić myśl zdolu do góry. Jakkolwiek plan ten przedstawiał olbrzymie zadawady, jednak na drodze postępu języka czeskiego obiecywał bardziej korzeniste drzewo narodowości.“

„Lud nigdy nie odrzuca ewangelicznej myśli prawdy, a tém bardziej lud czeski, który wylał tyle krwi za swoje przekonania; i ten więc razem pochwylił ją z zapalem i począł pielęgnować wszelkimi środkami, na jakie go starczyło. Powoli zaczęto otwierać oczy, oglądano stary język czeski jak Łazarza powstającego z grobu, zmysł muzyczny, wrodzony Czechom, odkrywał im jedną za drugą coraz nowe ponęty; pieśni ludu podały badaczom muzyki skarby melodyi, i tak myśl zaszczerpiła się w mieszczaństwie. Duchowieństwo zwłaszcza wiejskie, które swoją nauką, moralnością i poświęceniem (mówimy tu o ostatnich czasach) wywarło na lud tyle zbawionego wpływu, prowadzone przez światłego księdza Bolzano, zajęło się wiejskimi księgozbiórami, szkołkami i wydawaniem czeskich dzieł różnej treści powiększej części zabawnej.“

„Gdy tak zapal ogarniał klasę mniej zamożną, niektórzy z panów, oddający się wyłącznym naukom jak np. archeologii, lub rodopisowni, zapragnęli mieć zakład naukowy na wzór podobnych, istniejących już w Wiedniu, Gratzu i innych miastach Cesarstwa. Wnet widzimy powstające Muzeum czeskie i zakład literacki do wydawania dzieł poważnej treści, nazwany „Macierzą czeską.“ Sternbergowie i Rudolf Kiński pilnie chodzili koło instytucyj powierzonych ich dozoro-

wi, i swoim przykładem pociągnęli kilku innych panów czeskich, między którymi spostrzegamy w pierwszym rzędzie nazwisko rodziny Thunów.“

„Prawdziwą epoką, od której wypada liczyć postęp sprawy czeskiej, jest mianowanie Palackiego historyografem stanów. Mąż ten znakomitych zdolności, czynnością niez mordowaną rozbudził w szlachcie dotąd uśpioną intelligencją i podniecił do działania ku wspólnemu dobru. Sejmy czeskie dotychczas ograniczające się na podawaniu postulatów wskazanych w Wiedniu i mowie dziękczynnej, ułożonej raz na sto lat, poczęły dawać oznaki życia, a obradujący wylamywać się z stanu matematycznego. Szlachta jeła wartość dawne uchwały i przywileje, i cichaczem domagać się praw zaręczonych im oddawna przez dom Habsburski, a które przez gnuśność zapomniane leżały dotąd w pyle archiwów.“

„Tak, myśl wzbudzenia narodowości czeskiej, z początku powzięta na poddaszu, przedarła się nareszcie przez mur chiński, którym możnowładztwo ogradało się przeciw wszelkiemu postępowi, aczkolwiek i tam dostawszy się, nieraz, zupełnie została krzywioną w pierwotnym pojęciu. Myśl wskrzesicieli raz wprowadzona w działanie musiała uleść tysiącnym zboczeniom, jakich ci w uniesieniu pierwszego pojęcia nie przypuszczali. Pośrodkowcy (juste-milieu), rassa nie-szczesna, paraliżująca wszędzie wszelkie ruchy postępu, i tu nie zaniedbali walić lód na ledwo polyskujące ognisko sprawy czeskiej. „*Sich bin weder ein Deutscher noch ein Czeche, aber ein Böhme*“ zawołał jeden z magnatów w najnowszej swojej broszurce „*Ueber den Slavismus in Böhmen, vom Grafen I. M. T. Prag 1845.*“ a zadziwieni Czechowie i cała rzesza Słowian pojrzeli po sobie, szukając tego, kto by się podjął przełożyć to zdanie na jedno z narzeczy słowiańskich... Czechowie dzisiaj mogą się obejść bez uczestnictwa i pomocy szlachty, tém bardziej, że ofiary na ołtarzu ojczyzny składane bywają jedynie pod postacią rad, przyczynień, poplecznictwa i innych tego rodzaju wyłącznie moralnych poświęceń.“

„Cały ten ruch umysłowy, którego rozwój w krótkości przytoczyliśmy, ogranicza się dotąd na przedsięwzięciach literackich, a jedynym celem powszechnych żądań i nadziei jest zaprowadzenie szkół i uniwersytetu czeskiego. Czy te pojęcia rozwiną się dalej, czyli też zagrzezną w dzisiejszym stanie karłowatości, jest to pytanie, na które pragnęlibyśmy, aby każdy po odczytaniu tej książki sam sobie mógł odpowiedzieć. Z dotychczasowych objawów ducha czeskiego trudno jest coś pewnego przewidzieć, a też w wydawaniu sądu o Czechach niegodzi się zapominać, że za ledwie czterdzieści lat upłynęło, jak cały naród spał snem głębokim, a po mozolnym przebudzeniu za każdym krokiem napotykał nowe trudności. Dziś więc w Czechii można spotkać masę takich kwestyj, jakie w reszcie Europy oświeconej dawno już rozbitemi zostały; austriacki zaś germanizm, choć nie zdołał zupełnie zatrzeć znamion charakteru słowiańskiego, skrzywił go przecie

powolnością sobie wrodzoną, a zwłaszcza drobiazgowością i zwróceniem wszelkich dążeń do udoskonalenia, na drogę ulepszeń materialnych."

"Aby dokładnie przypatrzeć się starciu tych dwóch żywiołów, potrzeba nam poznać Czechą ze wszystkich stron duchowych jako i materialnych. Niedosć jest wykryć stan terażniejszy tego kraju, należy odsłonić jego przeszłość, rzucić wzrok na dzieje, które dziś zdają się nam bardziej grą rozmarzonej fantazyi, niż kroniką prawdziwych wypadków. W ogóle gdy Czechia żyła dawniej żywotem politycznym a dziś jedynie na polu literatury może używać działalność ducha, wypada zatem śledzić koleje objawów tego ducha w historii związanej z piśmiennictwem. Skreślimy więc naprzód rys krótki dziejów czeskich, zwracając całą uwagę jedynie na fakta, o działaniu bowiem ducha powiemy w szczególności przy rozbiórce historii Palackiego, poczem większość kwestyi żywotnych będzie łatwiejszą do pojęcia. Dalej w następstwie koniecznym przejdziemy do rozbioru piśmiennictwa i obejrzenia sztańców stawianych na polu literatury przeciw obskurantyzmowi."...

Oto ogólna treść przedmowy. Widzimy, że przedmiot gruntownie rozważony i w wielkich rozmiarach do wykonania nakreślony. Oczekujemy wyjścia drugiego tomu, abyśmy publiczności sumienną z całego dzieła zdali sprawę. Oświadczyliśmy wyżej, dla czego dziś nam tego dopełnić nie wypada.

Berlin dnia 29. Maja 1847.

Do Akademii Francuzkiej wybrany został P. J. J. Ampère, professor Literatury francuzkiej w Collège de France, autor wielu rozpraw o zadaniach literackich i językach, o Egipcie i o hieroglifach a mianowicie ważnego dzieła: *Wstęp do historii języka francuzkiego*. Jako uczony, Pan Ampère zajmuje bardzo znakomite miejsce, jako pisarz, jest ciężki i suchy; wykład jego z katedry uczy wiele, ale nie skupia umysłu i nuży. P. Ampère jest synem sławnego matematyka.

Spis rzeczy.

	strona
O wyobrażeniach szerzonych przez P. Aleksandra Maciejowskiego	525.
Literatura Angielska z pięćdziesięciu lat ostatnich (Ciąg dalszy)	553.
Literatura tegoczesna Anglii	597.
Wiadomości bieżące	624.

REDAKTOR D^r. SZAFARIEWICZ.

